

1347



1903.

KWIECIEŃ.

# PRZEGLĄD TYGODNIOWY

Dodatek popularno-naukowy  
(BEZPŁATNY).

---

---

## Fakty i przypiski.

Szkice Herberta Spencera.

XIV.

### Patryotyzm.

---

Gdyby mi wytknięto nieuczciwość albo mijanie się z prawdą, dotknęłoby mnie to do żywego; gdyby zaś zarzucono mi brak patryotyzmu, byłoby mi to zupełnie obojętnem. „Jako, więc nie kochasz pan swojej ojczyzny?” Na takie pytanie niepodobna odpowiedzieć odrazu.

Względnie wczesne zniesienie prawa pańszczyźnianego w Anglii, wczesny rozwój swobody i uznanie w szerokim zakresie praw ludu po upadku feudalizmu—są takimi faktami z życia angielskiego narodu, o których z dumą wspominać należy. Gdy postanowiono, że każdy niewolnik, wstępujący na ziemię angielską, zyskuje tem samem wolność; kiedy wydano zakaz przywozu niewolni-

ków do kolonij; kiedy zapłacono 20 milionów, aby wykupić niewolników w Indyach zachodnich i utrzymywano całą flotę, mającą za zadanie niedopuszczanie do handlu niewolnikami, — kraj nasz zasługiwał na wszelkie uznanie, gdyż wtedy. Anglia zdradzała szlachetne rysy, zasługujące na najwyższą pochwałę; niestety jednak, ciężą na historyi naszego kraju plamy—w postaci czynów, powtarzających się w ostatnich czasach coraz częściej i wywierających wrażenie wprost odwrotne. Cała działalność, dzięki której zyskała Anglia przeszło 80 zaborów: osad, kolonij, protektoratów, i t. d.—nie może zjednać dla niej współczucia. Czynienie z misjonarzy z początku agentów politycznych—a potem sędziów duchownych, rozporządzających siłą zbrojną, wymierzających kary w razie napotkanego oporu i kończących na tak zwanem „poskramianiu“; sposoby stopniowego lub nagłego przyłączenia kolonij, jak np. przyłączenie nowej kolonii indyjskiej i Barotzilandu, który został uznany za kolonię angielską, przyczem zdanie i zezwolenie ludu tubylczego równie mało brano pod uwagę, jak zezwolenie tubylczych zwierząt — wszystko to są fakty, które—zarówno jak ci, za czyją sprawą zostały one dokonane—bynajmniej nie mogą budzić sympatyi. Jeszcze bardziej słabnie miłość moja dla ojczyzny, kiedy przychodzi mi na myśl znalezienie się premiera naszych ministrów, który zwrócił nam uwagę na moralny nasz obowiązek udzielenia pomocy khedywowi w odzyskaniu Sudanu; natychmiast zaś po zdobyciu tego kraju zaczęto sprawować w nim rządy w imieniu królowej i khedywa, czyli wprost przyłączono go do Anglii. Również ujemnie na mój stosunek do ojczyzny wpłynął fakt, który miał niedawno miejsce: pomimo, przyobiecane przez usta dwóch

ministrów kolonij, nie wtrącania się do spraw wewnętrznych Transwaalu, zaczęto domagać się zaprowadzenia pewnych zmian w ustawie wyborczej, napotkany zaś w tej sprawie opór i odmowa, posłużyły jako usprawiedliwienie niszczącej wojny \*). Nie zasługuje też—mojem zdaniem—na miłość uzewnętrznianie uczuć narodowych, którego wyrazem jest owacya dla wodza flibustyerów lub też szumne oklaski niedowarzonej młodzieży, witającej tego, kto szydził z „biblijnej cnoty“ ludzi, opierających się jego zdobywczym planom. Jeśli zarzucą mi brak patryotyzmu jedynie na tej zasadzie, że moja miłość dla ojczyzny nie znosi podobnego postępowania, zgodzę się na noszenie nazwy niepatryoty.

Wstrętnem jest dla mnie hasło: „To moja ojczyzna, bez względu na to, czy postępuje ona słusznie, czy nie!“ O ile hasło to jest wyrazem uczuć patryotycznych, może być ono poniekąd usprawiedliwionem, wystarczy jednak zrzucić osłonę kryjącą treść jego, aby przekonać się, że jest to uczucie bardzo dalekie od wzniosłości. Rozpatrzmy dwa odwrotne wypadki.

Przypuśćmy, że nasza ojczyzna postępuje słusznie, że przeciwdziała ona ciemństwu. W takim wypadku myśli i uczucia, zawarte w tem hasle, są sprawiedliwe. Samo-

---

\*) Powtarzają nam wciąż bajkę, że Boerowie sami wszczęli wojnę. Na zachodnich krańcach Stanów Zjednoczonych, gdzie każdy samodzielnie rozporządza się swoim życiem i gdzie regulamin wojny dobrze jest rozumiany, przyjęto ogólnie, że wojnę wszczyna ten, kto pierwszy sięga po oręż. Zastosowanie tej zasady bardzo jest wyraźne.

obrona nie tylko jest usprawiedliwiona, ale jest ona obowiązkiem każdego. Teraz, przypuśćmy odwrotny wypadek, mianowicie, że kraj nasz występuje jako strona zaczepna, że przemocą wkroczył on na obce terytorium, lub też że za pomocą oręża wprowadza nowe ustawy, których zdobyty lud wcale nie potrzebuje, albo wreszcie, że powierza opiekę nad ludem tym przedstawicielom swoim, „karzącym“ nieuległych; przypuśćmy, że ojczyzna nasza popełnia czyny, powszechnie uważane za niesprawiedliwe. Jakiż wówczas wypadłoby wysnuć wniosek z podobnego hasła? Słuszność jest po stronie tych, którzy się nam opierają, krzywdę zaś my wyrządzamy. Cóż powinienem powiedzieć w takim wypadku, aby zasłużyć na nazwę patrioty? Oczywiście, zawołać wypadnie: „Precz ze sprawiedliwością! niech żyje krzywda!“ W umysłach ludzi dawniejszych błąkała się—i po dziś dzień jeszcze u wielu błąka się—wiara we wcielony pierwiastek zła—w istotę wędrującą po bożym świecie, wszędzie staczającą walkę z dobrem i dopomagającą złym do odnoszenia zwycięstwa. Czyż można zwięźlej wyrazić cel takiej istoty, aniżeli w przytoczonym hasle: „Niech żyje krzywda! precz ze sprawiedliwością?“ Jakże wyda się taka dewiza, tak zwanym patriotom?

Przed kilkoma laty uzewnętrzniłem pewnego razu uczucia, które bezwątpienia nazwą niepatriotycznymi. Było to podczas drugiej wojny o Afganistan, kiedy zdobywaliśmy ten kraj w imię tak zwanego „własnego interesu“. Opublikowano wieści o niebezpieczeństwach, jakie groziły pewnej części naszych wojsk. W klubie „Ateneum“ pewien dość znany wojskowy, wówczas dopiero kapitan, obecnie już generał, zwrócił mi uwagę na depeszę, zawierającą tę wiadomość i przeczytał mi ją, będąc prawdopo-

dobnie najmocniej przekonany, że podzielę jego niepokój. Odpowiedź moja wprawiła go w nadzwyczajne zdumienie: „Nic a nic nie wzrusza mnie los ludzi, którzy biorą na siebie misję zabijania bliźnich na wydany rozkaz“.

Przewiduję, że słowa te wywołają taką replikę: „jeśli wyjdziemy z podobnego założenia, to cała organizacja wojskowa okaże się niemożliwością i państwo straci całą potęgę; niepodobna pozwolić, aby każdy pojedynczy żołnierz rozumował i krytykował cel bitwy; zadałoby to stanowczy cios wojskowej dyscyplinie, a kraj nasz stałby się zdobyczą pierwszego lepszego, kto zechce nim zawładnąć“.

„Nie sądźcie tak pospiesznie“—mógłbym odpowiedzieć. Wojsko nie utraciłoby swojego znaczenia obecnego w wypadku wojny jednego rodzaju, a mianowicie wojny dla celów obrony narodowej. Podczas takiej wojny każdy żołnierz odczuwałby w zupełności słuszność swojej sprawy. Nie spełniałby misji uśmiercania ludzi, o których nie wiedziałby nic złego ani dobrego, ale wojowałby z gwałcicielami praw zarówno jego osobistych, jak i praw jego współziomków. Można negocjować tylko potrzebę wojny zaczepnej, ale nigdy obronnej.

Narażam się tu na słuszny zupełnie zarzut, że, o ile nie będzie kroków zaczepnych, nie zajdzie też potrzeba działań obronnych. Rzecz jasna jednak, że jeden choćby naród może ograniczyć swoją działalność wojenną li tylko do obrony, chociażby inne narody tego nie czyniły. Tym sposobem teza moja znajdzie usprawiedliwienie. Ci jednak, którzy wołają: „To moja ojczyzna, bez względu na to, czy postępuje ona słusznie, czy nie“—i pragnęliby powiększyć liczbę naszych osiemdziesięciu zaborów taką

drogą, jak to czynili dotychczas—odwrócić się ze wstrętem od projektu takich ograniczeń w dziedzinie militarizmu. W pojęciu ludzi tych największą byłoby niedorzecznością spełniać w poniedziałek to, co w niedzielę głosili z ambon.

## XV.

**Zadania sztuki.**

Manja wychowawcza, łąpiąca na lep szumnych słów: „oświata“, „poznanie“, „nauczanie“—dąży wszystkimi siłami do utożsamienia umysłu z intelektem i wskutek tego wywiera wpływ na sądy ludzi o różnych rodzajach umysłowej działalności i tworców umysłu. Zaślepienie to psuje pojmowanie sztuki i jej zadań, pod nazwą zaś „sztuki“ w utartem jej obecnie znaczeniu rozumieć należy wszelkie płody twórczej fantazyi. W dziedzinie tej, zarówno jak i we wszelkiej innej, zbyt nisko cenionym bywa wzruszeniowy pierwiastek umysłu, zbyt wysoko zaś jego pierwiastek rozumowy.

Dotknąwszy zlekka wiecznego sporu w sprawie sztuki dramatycznej, sporu, który kręcił się około kwestyi, czy odtwarzanie życia na scenie jest pouczającym, czy nie, jak gdyby przyjemność, jakiej się w teatrze doznaje, zupełnie nie miała znaczenia—zwrócić muszę uwagę na fakt, że w poezyi, jak to widać wyraźnie, na pierwszy plan wysuwana bywa myśl a nie uczucie; słusność słów moich stwierdza zdanie Mathew Arnolda, że „poetyza, ta wzniosła krytyka życia, dzięki szerokiemu, swobodnemu odtwarzaniu rzeczy, zawiera w sobie prawdę“. Posłannictwo poety polega więc, podług niego, nie na wywoływaniu pewnych

uczuć, ale na przeprowadzaniu pewnych myśli. To samo tyczy się też utworów sztuki plastycznej. Artyści starają się podnieść znaczenie swojej twórczości na tej zasadzie, że sztuka przyczynia się do szerzenia kultury umysłowej: jest to dla nich jedyny, dający się określić, powód. Przed kilku laty uwagę moją na podobnego rodzaju opaczne pojmowanie ściągnęło objaśnienie Holmana Gunta, dodane do wystawionego obrazu; zdaje się, że był to „Chrystus w warstacie cieśli“.

Tematem tego wstępu było kształcące znaczenie sztuki. Wniosek zeń wyprowadzony był taki, że nie wystarczy, aby obraz zadawał poczucie estetyki i wywoływał przyjemne wzruszenie—musi on jeszcze wypowiadać jakąś myśl—nauczyć czegoś. Czynienie zadość pewnym uczuciom nie może być uważane za cel zasadniczy; głównym celem powinno być kształcenie. Niedawno na odczycie, wypowiedzianym na posiedzeniu „*Ruskin Society*“ w Birminghamie, przez wydawcę miesięcznika: „*The Studio*“, usłyszałem takie same zdanie, w odmiennej tylko nieco formie, a mianowicie: „zadaniem sztuki jest kształcenie umysłu i czynienie zadość jego potrzebom“.

To samo ma też miejsce i w muzyce. Uważaną jest ona także za ćwiczenie umysłu. Apeluje ona do tego umysłu a ponieważ umysł pojmowanym jest jako intelekt, jest więc ona apelowaniem do intelektu. Kompozytor powinien, tworząc, wyrażać nie uczucia, ale idee pouczające, słuchacz ma zaś obowiązek wyłuskania tych myśli i oceniania ich. Teoryja, jaką wyznawał Wagner, była taka, że zadaniem muzyki jest nauczanie. Utwory swoje uważał za sposób wyrażania pewnych swoich poglądów na życie, oraz za czynniki propagowania takowych. Taki sam pogląd wypowiedział jeden ze znakomitych jego uczniów, który zupeł-

nie nie zgadza się z twierdzeniem, jakoby na muzykę za-  
patrywać się należało wyłącznie jako na źródło rozkoszy.  
Tę samą myśl przeprowadzają i krytycy muzyczni, którzy  
często, chwając utwór, nazywają go „uczonym“ i uważają,  
że zasługuje on na uznanie nie dzięki wzruszeniu, jakie  
wywołuje, ale dzięki kulturalnemu rozumowi muzyka.

Źródło niewłaściwych tych poglądów na sztukę tkwi,  
jak już zaznaczyłem na innem miejscu, w olbrzymim błę-  
dzie, dotyczącym składowych części umysłu. W tej sfe-  
rze życia, która styka się z muzyką, zarówno jak i we  
wszystkich innych jego dziedzinach, intelekt jest panem,  
wzruszenie zaś jego sługą. Pewna doza wrażliwości inte-  
lektualnej, od której nieodłącznym jest pojęcie pewnego  
stopnia kultury, niewątpliwie niezbędną jest do od-  
czuwania przyjemnych wrażeń, jakie może budzić muzyka,  
wrażliwość jednak tego rodzaju jest tylko środkiem, nie  
zaś samym celem. Wyjaśnić to można na zasadzie analo-  
gicznego przykładu. Przed wytworzeniem się sympatyj,  
musi zostać zawartą pewna znajomość z naturalnym języ-  
kiem wzruszeń, to znaczy z tem, jakie odcienie i zmiany  
głosu, jaki wyraz twarzy, jakie ruchy i gesty wyrażają  
pewne stany umysłu. Jednakże znajomość tego natural-  
nego języka wzruszeń nie stanowi jeszcze sympatyj. Można  
doskonale rozumieć znaczenie wszystkich tych rysów, nie  
odczuwając najsłabszego przejawu sympatyj.

Taka sama skomplikowana różnica zachodzi pomiędzy  
znajomością muzycznych sposobów odtwarzania w subtel-  
nym ich rozwoju—a odczuwaniem wzruszeń, jakich narzę-  
dziem jest język muzyki, czyli strona jej techniczna. Ro-  
zum odgrywa pewną rolę w stopniu przyczyniania się  
kulturalnych pojęć intelektu do budzenia uczuć, jakie  
chciał budzić w słuchaczach kompozytor, ale i tutaj,



nie wychodząc nawet po za właściwą sferę swojego działania, może praca rozumu okazać się zbytęzną. Dawnemi laty, kiedy rozporządzałem dwoma biletami do królewskiej opery włoskiej, zapraszałem często George Elliot, o czem istnieje nawet wzmianka w jej biografii. Pewnego razu zwróciłem jej uwagę, w jak znacznym stopniu osłabia przyjemność słuchania muzyki dążenie do analizowania tego, czego słuchamy; najzupełniej zgodziła się ona ze mną na tym punkcie. W każdej danej chwili świadomość nasza zajmuje określoną tylko przestrzeń, dlatego też część tej przestrzeni, zajęta już przez cośkolwiek, musi z konieczności wpływać na zmniejszenie przestrzeni, zajętej przez coś innego. Taki sam zupełnie zachodzi antagonizm pomiędzy intelektualną oceną i zadowoleniem natury wzruszeniowej, jaki istnieje w podstawowym ustroju naszego umysłu: antagonizm pomiędzy wzruszeniem i pojęciem; przechodzi on przez całą treść umysłu i obejmuje poszczególne już konflikty myśli z uczuciem, nieodłączne od krytycznego stosunku do muzyki.

Dochodząc do przytoczonego powyżej znaczenia muzyki, do tego zamierzonego nauczania, jakie miało być zadaniem kompozytora w stosunku do słuchacza, stajemy wobec następującego konfliktu z ostatecznym celem. Pierwiastek rozumowy jeszcze bardziej szkodzi pierwiastkowi wzruszeniowemu. W tym samym stosunku, w jakim słuchacz zamiast biernego odbieracza wrażeń muzycznych, staje się czynnym interpretatorem muzyki, zatracą on to szczególne uczucie, którego wywołanie jest zadaniem sztuki. Jeśli wzorem Ernesta Newmana, uważa on muzykę za tyle mającą wartości, „o ile przyczynia się ona czemkolwiek do naszej znajomości życia“ i słuchając jej, szuka

tylko wiedzy, traci to, co muzyka mogłaby była mu dać—i sędzę, nie otrzymuje nic w zamian.

Wychowawczy wpływ muzyki, rozumnie pojmowany, powinien być wynikiem wywołanych silniejszych i wznioślejszych wzruszeń. Muzyka może apelować do uczuć poziomych i surowych, albo też do szlachetnych i subtelnych—i czyniąc to, budzi wznioślejsze strony charakteru, wywołany zaś przez nią efekt, chociażby nawet przelotny, wywiera wpływ uszlachetniający. Głównem jednak zadaniem muzyki nie jest kształcenie ani wychowywanie, ale dostarczanie przyjemności, co stanowi cel zupełnie wystarczający.

## XVI.

### Z a g a d n i e n i e.

Ludzie, pozbawieni zdolności muzycznych, korzystają wzamian za to z pewnych prerogatyw; jedną z nich jest to, że ludziom takim nie brzmią nieustannie w uszach motywy, które utkwity w ich głowie i których pozbycie się jest absolutnem niepodobieństwem. Wiele osób—jeśli nie wszystkie—obdarzonych dobrym słuchem, nie może pozbyć się nieodłącznego, męczącego towarzystwa pewnych melodyj, melodyj zazwyczaj oklepanych, zasłyszanych po raz pierwszy w salach koncertowych, a potem powtarzanych przez wszystkie uliczne katarynki. Jedyne lekarstwem na takie zło, skutecznem na czas pewien, jeśli nie na stałe—jest świadome pochwycenie przez myśl naszą innej jakiejś melodyi; w końcu świadomość nasza nie będzie w stanie utrzymać obu i pierwszy nieproszony gość usu-

nięty będzie chwilowo. Grozi, co prawda, do pewnego stopnia niebezpieczeństwo, że wezwany osiadzie na stałe, zamiast nieproszonego. Ale właściwie nie należy to wszystko do rzeczy.

Przytoczyłem przykład powyższy dlatego jedynie, że rzuca on pewne światło na różnicę poglądów na nasze „ja“. Metafizyczne spory kręcą się często około poznania określonej, stale obecnej osobowości. Niektóre przyjmują, jako pewnik, że ze świadomością przedmiotowego istnienia, nierozłącznie związana jest świadomość istnienia podmiotowego; pojęcie świadomości swojego „ja“, nieodłączne jest od świadomości: „nie ja“. Prawda ta zdaje się na pierwszy rzut oka niepojętą; jeśli jednak rozpatrzymy krytycznie świadomość samego siebie, to pewne rzeczy staną się mało bardzo zrozumiałymi, a mianowicie, między innymi rzeczy, należące do dziedziny, z której przytoczyłem przed chwilą przykład a to dlatego, że niezawsze można powiedzieć o pewnych gałęziach naszej świadomości, czy dotyczą one pojęcia o naszym „ja“, czy też nie. Wątpliwość podobna zupełnie jest uzasadnioną w powyższym przykładzie; jest to zwłaszcza oczywiste, gdy niewzywana natrętna melodia nie przestaje prześladować nas nawet podczas snu. Nieraz zdarzyło mi się zauważyć w chwili budzenia się, że jest ona pierwszą rzeczą, zjawiającą się w mojej świadomości. Jakiż jest rodzaj istnienia tego szeregu tonów, szeregu tak ściśle związanego, że jeśli powtórzymy część jego, rozwija się on w dalszym ciągu sam przez się—a potem, doszedwszy do końca, zaczyna się znów od początku? W jaki sposób ta czynna strona naszej świadomości związana jest ze wszystkim innym? Nie możemy jej wtłoczyć w sferę tego, co nazywamy własnym naszym „ja“, ponieważ przekonywamy się, że nasze „ja“ usiłuje wyprzeć na-

trętnego gościa, ale bezskutecznie. Jeśli zaś nie jest to częścią naszego „ja“, to czemuż jest ono?

Istnieje mnóstwo faktów pokrewnych. Gdy oglądam swoją rękę, wrażenie, jakiego doznaję, bezsprzecznie stanowi część mojej świadomości; czy jest to jednak przejściowa faza samego „ja“, czy też wrażenie, w niem wywołane— stanowi to kwestyę, której rozstrzygnięcia można na razie zaniechać. Ale oto po za granicą pola naszego widzenia, na którym mieści się większa część przedmiotów, znajdujących się w pokoju — z jednej strony odbieram niejasne wrażenie kominka, o którym mogę myśleć, albo nie myśleć; z drugiej zaś — wrażenie okna, którego pojęcie, jako okna właśnie, może istnieć w moim mózgu lub nie. Istnieje też najdalszy kraniec mojego pola widzenia, z którego dochodzą do mnie także wrażenia, ale wrażenia nieokreślone, o ile, naturalnie, nie spojrzę w bok; gdybym myślał nawet o nich, nie mogę, nie skierowawszy wzroku w tamtą stronę, określić ich natury. W jakim więc stosunku pozostają to nieokreślone wrażenia do mojego „ja?“ Nie mogę nawet powiedzieć, aby stanowiły one część świadomości w zwykłym znaczeniu, dlatego, że obserwując przedmioty, które stoją wprost przedemną, nie zdaję sobie może wcale sprawy, że owe dalsze znajdują się tutaj, jakkolwiek objęte one są bezsprzecznie przez moją czynność myślową. Mniej jeszcze w stanie jestem powiedzieć, w jaki sposób niejasne wrażenia wiążą się z tą częścią mojej świadomości, którą uważam za umysłowe swoje „ja“. Takie same kwestyę mogą wyniknąć w stosunku do pragnień naszych i wzruszeń, słabych lub silnych, zjawiających się w nas często bez wzywania ich, pomimo nawet chęci ich pozbycia się i które tym sposobem wydają się

częściami świadomości, pozostającymi w antagonizmie do części świadomości, stanowiącej nasze „ja“.

Najjaskrawszym jednak i najwyraźniejszym dowodem tej oddzielnej, opierającej się części świadomości — jest przytoczona powyżej natrętna melodia. Tony jej tworzą ukształtowaną i całkowitą grupę stanów świadomości, zupełnie niezależnej od świadomości swojego „ja“, wrogiej jej i zawsze odnoszącej nad nią zwycięstwo.

Z punktu widzenia fizyo-psychologicznego nietrudno jest wytłómaczyć ten objaw, stanowczo jednak nie jestem w stanie wyobrazić sobie, w jaki sposób rozstrzygnie zagadkę tę metafizyka.

## XVII.

### Szczepienie ospy.

„Jeśli zdarzy wam się zakłócić bieg życia natury, nie wiadomo, gdzie i w jaki sposób objawi się wynik waszej interwencji“—zauważył pewnego razu w mojej obecności znany pewien biolog. Wnet zamilkł jednak i znać było na nim gniew na samego siebie za swoje gadulstwo, spostrzegł bowiem, jakie wnioski mógłbym wyprowadzić z takiej tezy.

Jenner i uczniowie jego wychodzili z założenia, że gdy zarazek ospowy dostaje się do organizmu, zabezpiecza on—a przynajmniej prawie zabezpiecza takowy od zapadnięcia na ospę naturalną i że na tem kończy się cała sprawa. Nie powiem tutaj nic takiego, co mogłoby przemawiać za tem założeniem lub przeciwko niemu. Przytoczę tylko uwagę pewnego, znanego wszystkim wydawcy,

p. Pawła Kegana, opierającego się na własnym doświadczeniu. W „Pamiętnikach“ swoich mówi on o ospie, jaką przechodził jako młody człowiek: „Przechodziłem ospę w dzieciństwie wkrótce po zaszczepieniu mi jej. W rodzinie mojej jestem trzecim, który chorował na ospę dwukrotnie i u którego szczepienie zawsze się przyjmowało“.

Mam zamiar dowieść tylko, że „na tem nie kończy się wszystko“. Zakłócanie ustroju oraz porządku natury różne miewa skutki, po za przewidzianemi z góry. Niektóre z tych skutków znane są już teraz. Ze sprawozdań parlamentu, wydanych w 1880 r., wynika, że w ciągu dwóch porównywanych pięcioleci (1847—1851 i 1874—1878) śmiertelność dzieci, nie mających jeszcze roku, zmniejszyła się w drugim pięcioleciu, z powodu różnych przyczyn, o 6,000 na jeden milion urodzeń w roku, gdy tymczasem śmiertelność z powodu ośmiu specyficznych chorób, pozostających w bezpośrednim związku ze szczepieniem ospy, lub też wzmagających się tylko wskutek jej działania, wzrosła z 20,524 do 41,353 na milion urodzeń w roku, czyli więcej niż w dwójnasób. Rzecz oczywista, że wszystkie te choroby zabiły większą daleko ilość dzieci, aniżeli uratowano ich od ospy \*).

---

\*) Było to w czasie szczepienia ospy humanizowanej, kiedy lekarze byli przekonani, że inne choroby (jak np. syfilis), nie mogą udzielać się przez szczepienie. Każdy, kto zajrzy do ksiąg epidemiologicznego Towarzystwa z przed trzydziestu laty, przekona się, jak niespodzianie otworzył im pod tym względem oczy straszny wypadek epidemicznego zarażenia się syfilisem. Obecnie, dzięki szczepieniu krowianki, niebezpieczeństwo to już nie istnieje

Powszechnie przypuszczają, że odporność na ospę, będąca skutkiem wakcynacji, wywołuje pewne zmiany w składowych częściach organizmu; przypuszczenie to jest niezbite. Jeśli jednak substancje, tworzące organizm—twarde lub płynne, albo obie razem — zmieniły się o tyle, że nie podlegają już więcej zarazkowi ospowemu, to należałoby zadać sobie pytanie, czy cała zmiana na tem tylko się ogranicza? Czy można twierdzić z całą pewnością, że nie wywołuje ona innych skutków—po za uchronieniem pacjenta od danej choroby? Nie można zmienić istoty organizmu pod względem działania jednego głównego czynnika i pozostawić organizm ten niezmienionym, odnośnie do działania wszelkich innych czynników. Jakiegoż to będzie rodzaju zmiana? Są wypadki, że ludzie słabego wogóle zdrowia, po jakiejś cięższej chorobie, np. tyfusie, wzmacniają się, są to jednak wypadki rzadkie, nieprawidłowe, albowiem, gdyby było to rzeczą naturalną, zwykłą, to ludzie zdrowi stawaliby się jeszcze zdrowszymi po przebyciu szeregu chorób. Wynika z tego, że skoro organizm, zmieniony wskutek szczepienia, nie stał się bardziej odpornym na wszelkie szkodliwe wpływy, to stał się on mniej na nie odpornym. Ciepło i zimno, wilgoć i zmiany atmosferyczne, łatwo zawsze mogą wytrącić organizm z równowagi, taki sam wpływ mają też nań różne produkty spożywcze, nadmierne wysiłki i nadmierna praca umysłowa.

Nie mamy możliwości mierzenia zmian i wahań siły odpornej i wskutek tego przechodzą one niepostrzeżenie.

---

je, z wyjątkiem tylko perlicy (tuberkulozy krów). Przypuszczam fakt ten jedynie w celu dania dowodu, jak mało są godne wiary teorie lekarzy.

Istnieją jednak pewne dowody ogólnej względnej słabości. Odra jest obecnie chorobą niebezpieczniejszą, aniżeli była dawniej i śmiertelność z powodu niej wzrosła. Influenza dostarcza nam również takich samych dowodów. Przed sześćdziesięcioma laty bywały epidemie tej choroby w znacznych odstępach czasu, zapadały na nią nieliczne jednostki, stopień jej natężenia nader był słaby i nie pozostawiała ona po sobie żadnych poważniejszych następstw; teraz grasuje stale, zapada na nią mnóstwo ludzi w silnym bardzo stopniu, towarzyszą jej różne powikłania i zaburzenia organizmu. Choroba nie zmieniła się, ale osłabiła odporność organizmów wobec niej.

Istnieją inne jeszcze, również doniosłe fakty. Znany jest ogólnie biologiczny pewnik, że narządy zmysłowe i zęby rozwijają się z warstwy zewnętrznej zarodka. Dlatego też jedna jakaś anomalia w tej dziedzinie oddziałuje na wszystkie pozostałe organy: niebieskookie koty są głuche a psy bez sierści mają niewykształcone zęby. („Pochodzenie gatunków“ rozdz. I). Ten sam objaw ma miejsce i przy ustrojowych nieprawidłowościach, wynikłych z powodu choroby. Syfilis we wczesnym swoim okresie jest chorobą wysypkową, w razie zaś, gdy jest on dziedziczny, jednym z jego skutków są choroby zębów, a w dalszych okresach—zapalenie tęczówki. Taki sam wzajemny stosunek zachodzi przy innych także wysypkowych chorobach: szkarlatynie np. często towarzyszy wypadanie zębów, przy odrze zaś zdarza się często chwilowe lub stałe upośledzenie wzroku i słuchu. Czy niema to również miejsca i przy innej wysypkowej chorobie—tej chorobie, jaką powoduje szczepienie ospy? Jeśli zaś przypuszczenie takie jest uzasadnionem, zrozumiemy, czemu przypisać okropne psucie się zębów dzisiejszej młodzieży i przestaniemy dziwić się



obecnemu wzrostowi chorób oczu i wad wzroku w młodym wieku. Czy podobne postawienie kwestyi jest słusznem, czy nie—to rzecz inna, niedorzecznością jest jednak przypuszczać, że wakcynacja zmienia organizm tylko w stosunku do zarazka ospy, nie zmienia go zaś pod innymi względami \*).

## XVIII.

**Przesada i niedokładne określenia.**

Czytałem gdzieś a może tylko słyszałem, że James Mill karcę swoje córki za nielogiczne wnioski. Nie wiem, jakiego rodzaju stosowane były kary, ale nie pochwalam wcale surowego takiego sposobu traktowania braków w dziedzinie myślenia, braków, wpływających

\*) Wielki autorytet, James Padget, w wykładach swoich (4 wydanie, str. 39, mówi): „Rzeczą jest nader prawdopodobną, że po szczepieniu ospy oraz po innych zakaźnych chorobach nie tylko tkanki, ale w tym samym — jeżeli nie mniejszym — stopniu, cała krew zachowuje zmiany, jakie wakcynacja w niej spowodowała; w wielu wypadkach wydaje się, że niezależnie od rodzaju substancji, wprowadzonej do krwi, ślad tej specyficznej choroby pozostaje na zawsze“. Widzimy tu wyraźne przypuszczenie, raczej potwierdzenie faktu zmiany, zachodzącej w organizmie. Czy zmiana ta zachodzi na lepsze? Jeżeli nie, to chyba na gorsze.

w większości wypadków z nieuleczalnych wad fizycznej natury.

Uważam jednak, że należy karcieć młodzież za przesadę i niewłaściwe określenia, nakładając na nią kary, mające związek z popełnionym błędem i niepozwalające mu powtarzać się. W każdym poszczególnym wypadku, byłoby zupełnie właściwą karą i ćwiczeniem: napisanie zupełnie dokładnego i ścisłego określenia użytego wyrazu, oraz przytoczenie kilku przykładów właściwego jego zastosowania. Kara byłaby łagodna i pod wieloma względami pożyteczna; po za tem wryłoby się w mózg osobnika, używającego niedokładnych określeń, właściwe znaczenie wyrazów a tem samem byłoby właśnie najlepszą wprawą w określanie. Stanowiłoby to stałą szkołę ścisłego myślenia. Powszechnie przyjęty system wychowawczy nie uznaje tego rodzaju ćwiczeń, jakkolwiek są one stokroć ważniejsze od wszelkich innych, o które rodzice bardziej dbają. Podobne kary należałoby też stosować w wypadkach niedokładnego zdawania sprawy nie z tych rzeczy, jakich uczą nas książki, ale ze zwykłych wydarzeń życia codziennego i publicznego, jakie obijają się co chwila o nasze uszy w rozmowach starców i młodzieży.

Wszyscy grzeszymy pod tym względem i dlatego po-błażliwie traktujemy podobne wykroczenia. Chwilowe uczucia oddajemy za pośrednictwem silniejszych wyrażań, aniżeli należałoby użyć a chęć zainteresowania swoich słuchaczy rodzi zbyt jaskrawe zabarwienie faktu. Uważam, że sam zasługuję na naganę za te przesadne wyrazy; od-czytując ponownie rękopis, spostrzegam, że wyraz „bardzo“ był użyty często niepotrzebnie. Każdy z nas używa co chwila zbyt licznych przymiotników i przysłówków. Rzadko zdarza się słyszeć, żeby ktoś miał katar; zazwyczaj

mówią: „silny“ katar, albo „bardzo silny“ katar. Jeśli mowa jest o pogodzie, to o ciepłym, wiosennym dniu mówi się, że jest „gorący”—określenie, jakiego należałoby używać tylko w stosunku do lipca i sierpnia. Gdy deszcz pada, mówi się, że „leje“, co byłoby dokładnem określeniem odnośnie do ulewy lub deszczu z burzą. Tak samo cieniutka powłoka lodowa na kałużach uprawnia do mówienia o „tęgim mrozie“. Jeśli zaś mowa jest o wadach lub zaletach osoby, występującej publicznie, to zazwyczaj charakterystyka jej grzeszy przeciw prawdzie w dodatnim lub ujemnym kierunku. W rozmowie dają się słyszeć przymiotniki, użyte w stopniu najwyższym; wystarczy zaś chwilę pomyśleć, aby przekonać się, że stopnie najwyższe, nadzwyczaj rzadko mogą być stosowane, ponieważ zjawiska niezwykle małą tylko stanowią część zjawisk przeciętnych.

Krytyka tego rodzaju nadużyć w mowie nie odnosi zazwyczaj skutku. Zapomina się zupełnie, że wchodzi one zwyczaj i że jakkolwiek zwykle wcale, albo mało wyrządzają szkody, zdarza się jednak, że następstwa tego przyzwyczajenia bardzo są opłakane. Twierdzenie, że przesada nie pociąga za sobą żadnych złych skutków, równałoby się powiedzeniu, że obojętną jest rzeczą, czy treścią rozmowy jest komunikowanie faktów prawdziwych, czy też skażonych lub mylnych; odstępstwa i pomyłki bywają przeważnie drobne i zwyczajne, czasem jednak bardzo ważne. Nie tak dawno właśnie osobiste moje doświadczenie przekonało mnie, że nieuważnie użyte wyrażenia — nawet w listach prywatnych — o których drukowaniu nigdy nie myślano, mogą, po ich opublikowaniu, być źródłem poważniejszych nieporozumień.

Pierwszy wypadek, na jaki się powołam, biorę z „Ży-

cia i korespondencyi T. Huxley'a". Na 333-ej stronie, w liście do swojego niemieckiego przyjaciela, doktora Dorna, grożąc mu żartobliwie rozdarciem na strzępy niektórych nowych jego myśli, w razie gdyby mu je przysłał, Huxley, ilustrując swoją groźbę, wspomina o mnie w następnych wyrazach: „Przez długie lata byłem surowym jego cenzorem, łatwo sobie wyobrazić, jak wiele błyskotliwych jego teoryj i światopoglądów zdławiłem, gdy były jeszcze w zarodku“.

Ludzie, myślący krytycznie, nie wezmą tych słów na seryo, biorąc pod uwagę cały tekst listu, inni zaś zrozumieją słowa: „łatwo sobie wyobrazić“ i t. d. — w dosłownem ich znaczeniu. Czując, że gdybym nie sprostował tego zdania, wprowadzałby on w błąd czytelników, poprosiłem mojego sekretarza (któremu słowa niniejsze dyktuję), aby porównał pierwotne rękopisy z drukowanym tekstem. Znalazł on, że w dwóch moich pracach, składających się na trzy tomy, których pierwsze odbitki czytał prof. Huxley, znajdowały się w rękopisie w czterech miejscach roztrząsania teoryj i poglądów, które znikły w drukowanym egzemplarzu—jedno z nich jednak zostało w następstwie pomieszczone przezemnie w przypisku, ponieważ wówczas już zupełnie było ono usprawiedliwione.

Jedno jeszcze wynikło z tego nieporozumienie. Musiałem dać moje prace biologiczne do przejrzenia jakiemuś specjalście danego przedmiotu; pracy tej podjął się uprzejmie prof. Huxley, nigdy jednak nie przeglądał on prac moich z dziedziny psychologii, socyologii i etyki, ani innych artykułów, pisanych na różne tematy — a jednak kilka ustępów z biografii ojca Huxley'a, napisanej przez Leonarda Huxley'a, czynią—jeżeli nie na wszystkich—to na wielu czytelnikach, takie wrażenie, jak gdyby były one

po części jego dziełem. Na 68 str. II tomu powiada on, że był moim „surowym cenzorem“ w ciągu trzydziestu z górą lat, t. j. w ciągu całego trwania naszej przyjaźni, aż do dnia, w którym był pisany ów list; wszystko to w połączeniu z wzmianką o odczytywaniu przezeń moich odbitek, może zrodzić przypuszczenie, że czytał on wszystkie moje prace, wydane w tym czasie i że gdyby nie jego hamujący wpływ, wydrukowałbym w nich masę nieugruntowanych dostatecznie teoryj. Nie mogę pominąć milczeniem nieprawdziwego tego wniosku. Z 16 wydrukowanych tomów prof. Huxley widział odbitki tylko trzech oraz jeszcze kilka odbitek drobnych wyjątków. Czytelnik łatwo zresztą przekona się, że w listach swoich wyprowadza on często zbyt pospieszne wnioski. Na 268 str. II tomu (wydanie pierwsze), mówiąc o dziedziczności cech, pisze: „Spencer trzyma się swojego poglądu *à priori*; bez tego cała jego psychologia rozpadłaby się na części“. Każdy, kto zajrzy do I tomu „Zasad psychologii“ i przeczyta część pierwszą, drugą i trzecią, a potem szóstą i siódmą II tomu, przekona się, że twierdzenie to zupełnie jest nieuzasadnione. Wychodzi ono z założenia, że gdyby teoria dziedziczności cech została obaloną, obróciłoby to w niwecz cały mój system; tymczasem o dziedziczności cech mowa jest li tylko w piątej i szóstej części, wielu uważa nawet, że zmiany, opisane w tych częściach, mogą zachodzić także drogą naturalnego doboru. Taka skłonność do przesady, nie cechuje wyłącznie tylko listów. Zdarzają się fakty podobne i w drukowanych utworach. Poglądy, jakie wygłaszałem co do funkcyj państwowych, nazywał prof. Huxley „administracyjnym nihilizmem“, chociaż polegały one jedynie na tem, że — zdaniem mojem — po za obroną narodową—ciąży na państwie obowiązek bronięcia

obywateli nietylko od zbrodni, nadużyć i wzajemnych napaści, ale także od wszelkich publicznych niesprawiedliwości.

A oto inny przykład, służący jako ilustracya nieporozumień, wynikających po części z przesady, po części zaś z niedostatecznej ścisłości wyrażania się. W pewnym szkicu o mojej literackiej działalności i moich utworach, napisanym przez niezmiernie sympatycznego referenta, mieści się takie zdanie: „Jak drugi Arystoteles, zmuszony był Spencer powierzać innym olbrzymią część swojej pracy“. Ten, komu wiadomo, że praca, jaką Arystoteles powierzał innym, polegała na zbieraniu materyałów do jego „Historyi naturalnej“, zrozumie właściwie to zdanie; wątpię jednak, czy na dziesięciu czytelników znajdzie się jeden, któryby o tem wiedział i dlatego też prawdopodobnie wysnuty zostanie na podstawie słów tych fałszywy wniosek. Ponieważ nazwisko moje związane jest szczególnie z filozofią syntetyczną, może wielu pomyśleć, że „większa część“ jej została napisana przez moich pomocników. Tego jednak nie chciał autor powiedzieć. Praca moja, do której odnoszą się te słowa, nosi tytuł: „Socyologia opisowa czyli grupa faktów socyologicznych, rozklasyfikowanych i rozłożonych przez Herberta Spencera, skompilowanych i zaczerpniętych przez Dawida Duncana, Richarda Sheppinga i Jamesa Colliera“; w chwili obecnej zostało wydrukowanych już osiem części tej pracy. Wiedząc, że nie będę w stanie przeczytać wszystkich podróży i dzieł historycznych, które były mi niezbędne do układu nauki o społeczeństwie, prosiłem wskazane powyżej osoby—z początku jedną, potem drugą i nakoniec wszystkie trzy — aby przeczytały wszystko, co było mi potrzebne i rozsegregowały swoje wypisy wedle moich wskazówek. Zużytkowałem większą

część zebranego przeze mnie tą drogą materiału przy pisaniu „Początków socyologii“ oraz drugiej części „Zasad etyki“.

Jeśli życzliwi nawet nam ludzie mogą, niewłaściwych używając wyrażań, być powodem tego rodzaju nieporozumień, czegóż możemy spodziewać się w takim razie od nieprzyjaciół naszych? Zbytecznym będzie chyba rozwozić się nad tem, że nieprzyjaźń, niezależnie od gruntu, na jakim się zrodziła—osobistego, politycznego, teologicznego lub filozoficznego, w wysokim stopniu ułatwia przesadę i fałszywe stawianie tez. Miałem możność zebrania doświadczenia na polu polemiki—i obecnie, dokładnie przypominając sobie fakty z tej polemiki, starannie unikając przesadnego oświeclania, jakie w tej chwili potępiam, dochodzę do przekonania, że — w trzech wypadkach na cztery—poglądy, obalane przez moich oponentów, zupełnie nie są moje, ale jedynie przypisane mi przez nich zupełnie bezzasadnie, czasem wskutek pomyłki, częściej jednak umyślnie lub przez nieżyczliwość.

Przechodząc od przykładów tych do tezy ogólnej, silniej jeszcze niż kiedykolwiek będę obstawał przy twierdzeniu, że niedostateczna dokładność i ścisłość wyrażania się, może wyrządzić ogromną krzywdę. Rozlewy krwi, pozabawienie życia, narodowe rzezie — bywają w znacznym stopniu jej skutkiem. Rozbudzone namiętności zarówno jednostek, jak i całego narodu, podsycane i zaostbrane bywają jeszcze przez obmowę, napaści, często bezpodstawne w samym założeniu i, naturalnie, niedające się udowodnić; gdy zaś namiętności rozpały się do najwyższego stopnia, ludzie zaślepieni przez gniew, rzucają pierwsze lepsze oszczerstwo, jakie im przyjdzie na myśl. Większość narodu angielskiego nie przyzna naturalnie, że nasza lekko

myślna przesada i niedokładne określenia są w znacznym stopniu powodem klęsk, przez nas poniesionych i mocno nas dotykających, oraz większych jeszcze nieszczęść, z powodu których cierpią inni; ale zgodzi się chyba na to, że przesada i niewłaściwe określenia silnie rozdmuchały płomień nienawiści, jaką żywią względem Anglii państwa kontynentalne. Ziomkowie moi powinni stanowczo rozumieć, że ta powszechna nieścisłość języka jest w chwili obecnej źródłem międzynarodowego niebezpieczeństwa: Francuzi i Niemcy szukają powodu do rozpoczęcia wojny z nami, dlatego więc drobne zajścia mogą być hasłem rujnującej wojny. Rzeczą jest oczywistą, że nienawiść, jaka wybuchła niedawno względem nas wśród młodzieży głównie, o czem słyszałem od mojego niemieckiego przyjaciela, może w przyszłości dać powód do ogólnej rzezi, powrotu do dzikości i ogromnych klęsk finansowych. Prosty ząd wniosek, że potępianie zwyczaju przesadzania jest wprost obowiązkiem. Mówię „zwyczaju“, jeśli bowiem nadużywamy słów w sprawach małych i obojętnych, to w wielkich i ważnych—będziemy tak samo ich nadużywali. Niedorzecznością jest przypuszczać, że ten, kto w drobiazgach postuluje się wyrażeniami silniejszymi, niż należałoby, stanie się odrazu powściągliwszym w mowie, kiedy będzie szło o sprawy ważniejsze.

„A więc słowa nasze powinny być ściśle odmierzone i odważone, a tem samem rozmowa nasza musi być nudna, będziemy musieli bowiem obmyślać wyrazy, zanim je wypowiemy, aby się upewnić, czy jesteśmy w zupełnej zgodzie z prawdą. Jeśli będziemy tak czynili, rozmowa straci całą barwność“. Takiej odpowiedzi spodziewać się należy ze strony tych, którzy sami pozwalają sobie na przesadę i bronią jej. Odpowiedź powyższa trafną jest dlatego,



że uwydatnia przypadkowość myśli, jakie stwarza przesada. Z przytoczonego argumentu można przeprowadzić wniosek, że słowa, prawdziwie odtwarzające fakty, powinny być używane w tych wypadkach, kiedy chcemy ściśle trzymać się faktów, nie zaś wówczas, kiedy wyraźnie zamierzamy przesadzić je i ubarwić dla sprawienia większego wrażenia. Humorystyczne zabarwienie jeszcze większy będzie wywoływało efekt, gdy pochodzić będzie z ust człowieka, używającego zazwyczaj wyrazów we właściwym ich znaczeniu.

T. C.

---

H. G. WELLS.

## ODKRYCIE PRZYSZŁOŚCI.

(Studyum).

### II.

Kładę nacisk na to, że cała przeszłość zewnętrzna—przeszłość historyczna, jest owocem poszukiwań nowych, bardziej ścisłych niż dawne, nie zaś rodzajem objawienia. Zawdzięczamy ją wyłącznie nowemu, bardziej krytycznemu sposobowi badania rzeczy. Znajomość nasza przeszłości geologicznej, jasna i pewna, jaką się dziś stała, jest znajomością odmienną, znajomością stopnia niższego, w stosunku do poznania za pomocą pamięci osobistej a jednak da się ona wybornie zużytkować i jest godną zaufania, można na niej budować. Gdyby chciano nazwać prywatną pamięć: przeszłością osobistą a cały dalszy plan, leżący po za nią, przeszłością historyczną lub tradycyjną, możnaby te odkryte przestwory przeszłości geologicznej nazwać przeszłością indukowaną.

To wielkie odkrycie przeszłości na drodze indukcji naukowej uczyniono wskutek usilnego i długiego badania i poddawania krytyce pewną ilość faktów istniejących, kawałków krzemienia dziwacznie obrobionego, sposobu

przymocowania strzał do drzewca, przez badanie skał, szczegółów anatomicznych i rozwoju, jakiemu ulegał zawsze świat leżący pod stopami ludzi od chwili ich pojawienia się, świat, o którym nikt nie przypuszczał nawet, by mógł dostarczyć jakichkolwiek wskazówek a tem mniej, by mógł otworzyć tak zadziwiające i tak jasne perspektywy. Zbadany w sposób nowy, stał on się źródłem światła olśniewającego i przenikającego wszystko. Odległa przeszłość rozjaśniła się i ukazała oczom zdumionym.

Rozpatrywane jako skutki, porównywane i krytykowane, dały jasną wizję historii ogromnego łańcucha lat. Człowiek wziął z teraźniejszości pewną ilość faktów charakterystycznych, dających do myślenia i począł je porównywać ze sobą, krytykować, oceniać, z usilnością ciągle dochodząc przyczyn, nie mając innej żadnej dyrektywy w badaniach i oto udało mu się rzucić jasny snop światła w najdalszą przeszłość; czyż teraz, po tem doświadczeniu może być za nierozsądne uważaniem przypuszczenie, że poszukując przyczyn żywych, zamiast dawnych, porównując fakta z równą usilnością, jak to czyniono z dokumentami geologicznymi, jest niemożliwem rzucić snop światła w przyszłość i dojść do poznania rzeczy przyszłych, tak samo jasnego, tak samo przekonującego a nierównie ważniejszego dla ludzkości, jak jasna świadomość przeszłości, jaką dała geologia w XIX wieku.

Przynajmy, że niema nic, coby odnośnie do przyszłości odgrywało rolę pamięci odnośnie do przeszłości. Nie można, naturalnie, przyjąć żadnej — przyszłości osobistej, jak znana nam — przeszłość osobista; ani żadnej przyszłości tradycyjnej, równającej się przeszłości tradycyjnej, którą posiadamy; ale inną jest rzeczą przyjęcie możliwości przyszłości indukcyjnej, któraby odpowiadała wielkiej przesz-

łości, indukcyjną metodą, choćby w zakresie geologii i archeologii zdobytej.

Przyznaję się do niezachwianej wiary, że znajomość przyszłości osiągnięta drogą indukcji, leży w granicach możliwości ludzkiej. Wierzę, że blizkim jest czas, w którym podjąć będzie można systematyczne jej badanie. Nie należy sądzić wykonalności większej lub mniejszej tego przedsięwzięcia, miarą niepowodzeń dotychczasowych. Dotąd nie było żadnych poważnych usiłowań w tym kierunku, żaden umysł istotnie wyższy nie oddał się wyłącznie tej kwestyi, lecz czyż nie możemy żywić pewnej nadziei w wypadku, gdyby badaniu praw rozwoju społecznego i politycznego oddało się tyle umysłów, ile w ciągu ostatnich lat pięćdziesięciu oddało się np. badaniu praw połączeń chemicznych?

Dla ogółu dzisiejszych ludzi podobna myśl wypowiedziana bez ogródki, przedstawia się nieco dziwnie, ale ci co byli świadkami narodzin i jasnej młodości wiedzy naszej i ci, co myślą naukowo, wiedzą, jaką rolę, rzecz pozornie tak banalna jak przewidywanie, odegrało w poszukiwaniach naukowych i jak do dziś z nimi nierozdzielnie jest związane. Wyobrażenie popularne o badaniach naukowych, jakie ma ogół, to obraz tysiąca faktów nie połączonych ze sobą w całość, nie mających podkładu realnego, zgromadzonych na podobieństwo kamyków i muszli, jakie zbierają niektóre ptaki a z magazynu tego niektórzy zręczni magicy nauki, wydobywają to, co nazywa się popularnie: cuda wiedzy i to w tajemniczy a przypadkowy sposób. Wyobrażenie popularne ogółu o wynalazku zbiega się z wyobrażeniem przypadku. Wiemy jednak, że rzeczą istotną w badaniu naukowym, to nie gromadzenie faktów, ale analiza faktów. Fakty, to materiał surowy a nie isto-

ta nauki. Całą wiedzę zszeregowaną dała nam ta właśnie analiza a notorycznem jest już, że celem, dowodem i usprawiedliwieniem postępowania naukowego nie jest fajerwerk odkrycia, ale możność wyprowadzenia wniosków — proctwo.

Do chwili, w której naukowa teoria nie daje nic więcej, jak tylko kilka prognostyków godnych wiary, uważa się ją za czysto doświadczalną i niepewną. Jest to jeszcze puste przypuszczenie, tak samo niepewne i mętne, jak dyletancka konwersacya o sztuce, lub ułudy zajmujące polityków. Wspaniały systemat astronomii, opartej na prawie grawitacyi ogólnej, np. spoczywa na pewnych przypuszczeniach ruchu gwiazd i należałoby odmówić zgoła wiary jej zadziwiającym twierdzeniom, gdyby nie było uznanych i absolutnie pewnych przypuszczeń.

Cały system nauki lekarskiej chlubi się tem, że doszedł do dyagnozy. Meteorologia stale i uporczywie dąży do swego celu, którym jest—prognoza i nie uzyska w rządzie nauk miejsca honorowego, dopóki nie będzie zdolną przepowiadać pewnie. Chemik przewiduje pierwiastki lub połączenia, zanim je znajdzie i to słusznie stanowi jego chlubę—a wiemy przecież, w jaki sposób świetny umysł Clerka Maxwella wybiegł po za rezultaty wszelkiego doświadczenia i przepowiedział to, co odkryć udało się Marconiemu. A jeżeli mam słuszność mówiąc, że nauka dąży do prorokowania, jeżeli w zakresie każdej nauki specjalista opracowuje jaknajskrupulatniej — terazniejszość, by mógł prorokować w zakresie swojej specjalności, cóż może nam przeszkadzać w wybudowaniu całego systemu przepowiedni w szeregu rosnącym, obrazu uporządkowanego przyszłości, który byłby równie pewny, równie ścisły i naukowy, co więcej, równie szczegółowy nawet, jak obraz stworzo-

ny dla przeszłości przez współczesną wiedzę geologiczną. Oczekując zatem na zastosowanie prorocstwa do spraw pokoleń ludzkich, jest możliwem tymczasowo stosować indukcję do przyszłości spraw ogólniejszych; jest rzeczą równie pewną i prostą określenie zmiennej orbity ziemskiej przez całą przyszłość tejże ziemi aż do chwili, gdy straci ona swój pęd dokoła słońca i gdy zwróci się do niego jedną tylko stroną, jak określić przeszłość tejże orbity. Aż do chwili wystąpienia człowieka, przyszłość indukowana jest równie pewną i realną, jak przeszłość odkryta tą drogą. Ale siły nieorganiczne stanowią najmniejszą i najmniej ciekawą stronę kwestyi. Z chwilą, gdy człowiek staje się czynnikiem życia, problem cały zmienia się i cały interes skupia się dokoła kwestyi, czy człowiek nieobliczalny, bo posiadający wolę, zarówno jako indywiduum, jak też jako zbiorowisko, jest elementem nowym, modyfikującym zupełnie kwestyę i udaremniającym ją zupełnie, lub też czy wystąpienie jego komplikuje ją tylko, nie dotykając istoty samej i wiarogodności indukcyi. Do jakiego stopnia możemy mieć nadzieję uzyskania pewnych wniosków induktywnych co do przyszłości człowieka?

Streszczając się, powiem, że mamy z jednej strony skłonność niedostatecznego widzenia szans i pewności, jakie posiadamy odnośnie do przyszłości, z drugiej zaś strony przeceniamy to wszystko, co wiemy o rzeczach przeszłych z historii. Żywość wspomnień osobistych, które są nam kwintesencją pewności i realności, nadaje wnioskom indukcyjnym o przeszłości, urok przekonania. Ale przyszłość bezpośrednio poznać się nie daje z samej natury rzeczy i ten cień czarny pod samemi uszami rozpostarty, bezpośrednio po jasnym świetle pamięci retrospektywnej, nadaje przyszłości charakter groźny, niepewny i nie-

realny. Dziwimy się ustawicznie własnej woli lub brakowi jej, indywidualna otaczające nas, wytwarzają ciągle rzeczy niespodziewane—więc rozumiemy, że podobnie jak sami nie jesteśmy pewni nawet chwilę przedtem, co uczynimy lub uczujemy i nie możemy liczyć wzajem z zupełną pewnością na czyny naszych bliźnich i przyjaciół, nawet najbliższych, podobnie jest niepodobieństwem dla nas autycypować czynów państwa lub gminy.

Na to odpowiem, że przyrost liczebny obserwowanych istot ludzkich, może pozytywnie uprościć rzecz całą, zamiast ją komplikować, bo w miarę, jak indywidualów przybywa liczebnie, tworzy się—przeciętna. Porównanie objaśni to lepiej. Piasek składa się z ziarenek przeróżnych kształtów. Badając go pod mikroskopem, widzi się wszystkie rodzaje kątów, konturów, odmian. Nie poddawszy go badaniu, nie możemy określić formy poszczególnych ziarenek.

A gdy wysypuje się garstkę piasku na ziemię, nie zna się i nie można przewidzieć dokładnie położenia dokładnego, jakie w kupie utworzonej zajmie każde z ziarenek. Ale przewidzieć można dosyć dokładnie ogólną formę tej kupki. Jeśli przesiewa się ten piasek przez seryę sit, dając mu spadać z pewnej wysokości, można przepowiedzieć, że ziarna pewnej formy i pewnej objętości, znajdą się w pewnej części kupki utworzonej na ziemi a że ziarna innej formy i objętości znajdą się w innej jej części. W wypadku podobnym całość może być prostsza niż jej części składowe i tak się też ma rzecz w wielu bardzo sprawach ludzkich. I gdy indywidualna przyszłość wymyka nam się zupełnie z uwagi, niema powodów, dla którychbyśmy, jeśli do tego dążymy, nie mogli zużytkować pewnych uogólnień, odnoszących się do

rozlicznych a ważnych zagadnień przyszłości ogólnoludzkiej.

Ale istnieje ogromna różnica pomiędzy kupką piasku a zbiorowiskiem ludzi. I to właśnie należy uświadomić sobie i zbadać. Nasze myśli, wzruszenia i usiłowania są zaraźliwe. Pewien szczególny gatunek ziarenka piasku, np. ziarnko wyjątkowo wielkie i ciężkie, nie wywiera żadnego dającego się ocenić wpływu na inne ziarna piasku, składającego kupkę i będą one toczyć się, spadać, układać się bez względu, czy to wielkie i wyjątkowe ziarnko będzie, czy nie będzie należyć do zbiorowiska.

Ale wybitny człowiek przyszedłszy na ziemię, taki np. Juliusz Cezar, Napoleon lub Piotr Pustelnik, będzie usiłował podbić, zmienić, ubezsamowolnić kupkę piasku, to jest właściwie zbiorowisko ludzkie i zmodyfikować, zmienić jej przeznaczenie a to w granicach prawie nieokreślonych. Jeśliby tak rzecz się miała, usiłowanie nasze poznania przyszłości na drodze indukcji, byłoby zacieśnione do bardzo skromnych rozmiarów. Wierzyć w możliwość przepowiadania godziny urodzin człowieka wyjątkowo potężnego lub geniusza, jest to szaleństwo i jeżeli ci ludzie wyjątkowi posiadają istotnie wpływ przeważny, przyznawany im zresztą, na kierunek biegu przeznaczeń ludzkich, najwyższa nasza zdolność prorocza osiągalna, odnośnie do rzeczy ludzkich, redukuje się do warunkowego przewidywania. Możemy powiedzieć najwyżej, że jeżeli tak a tak ludzie będą postępować, takie a takie będą skutki i to wyznaczyć trzeba, będzie ostatniem naszym słowem w tej materii.

Ale wszyscy nie wierzą w przewagę osobistości wyjątkowych. Są ludzie, co mówią, że świat stał się takim, jakim jest przez Napoleona, lecz są i tacy, co mówią, że



świat dzisiejszy byłby najzupełniej taki, jakim go widzimy, choćby Napoleon nie był wcale na świat przyszedł. Są ludzie wierzący wyłącznie w indywidualum i wierzący jedynie w siły stojące po za nim. Wyznaję, że należę zdecydowanie do tych ostatnich. Wierzę, że gdyby wskutek jakichś sztuczek magicznych w przestrzeni i czasie, innymi się urodzili Juliusz Cezar, Napoleon, Edward IV, Wilhelm Zdobywca, lord Rosebery, Wiktor Hugo i Robert Burns—nie wpłynęłoby to zupełnie i nie spowodowało żadnych zmian poważnych w biegu rozwoju ludzkiego. Widzę w tych ludziach tylko obrazy, symbole i są dla mnie jedynie narzędziem, środkami działania sił, stojącymi po za nimi. Są to pióra, które mi los pisze. Im więcej się skłaniamy do uznania tych sił pozaludzkich, tem więcej otwiera nam się możliwość zdobycia na drodze indukcji i rozumowania, jasnego obrazu przyszłości, z którego pozytywną, praktyczną korzyść będzie można wyciągnąć dla nauki obyczajów, studyum kwestyj społecznych i tysiąca innych ważnych rzeczy.

A nawet ci, którzy przyjmują pogląd na dzieje ludzkości najbardziej osobisty, najbardziej melodramatyczny, którzy widzą w życiu tkaninę narodzin czarodziejskich spotkań przypadkowych, przypuszczają—jak sądzę—że to wszystko ma swoje granice, gdzie ustaje osobowość z całą jej dowolnością a poczynają działać siły wyższe. Jakimkolwiek byłby człowiek wyjątkowy, nie może cofnąć biegu rzeczy i to, co robi w kierunku istniejących praw, pozostanie, to zaś, co kieruje przeciw nim, zginie niezawodnie. Nie możemy przewidzieć jego wystąpienia — przyznajemy. To, czem się różni od innych osobiście: wielkość skutków jego działania, dramatyzm kształtujących

się wskutek tego wypadków—wszystko to jest jego własnością wyłączną, inaczej mówiąc, nie możemy ocenić, ze względu na ich doniosłość, wypadków, przyspieszeń i opóźnień biegu czasu, lecz jeśli tylko dość daleko zarzuciliśmy sieć uogólnień, jeżeli tylko dość gęsto i mocno ją związaliśmy, ostateczny rezultat wystąpienia wielkiego człowieka, jego ostateczne konsekwencye, to co go przeżyło, napewno uchwyciliśmy w ręce.

To jest znajomość przyszłości osiągalna — według mnie—o którą pokusić się warto.

Sądzę, że zdecydowane skierowanie ku przyszłości nauk historycznych, ekonomicznych i społecznych, oraz badanie i omawianie powstających kwestyj w dziedzinie etyki i religii pod kątem—przyszłości, byłoby czynnikiem z jednej strony niesłychanie pobudzającym rozwój, z drugiej zaś bardzo skutecznie łagodzącym spory. Zrobiłem, co do mnie należało, wskazałem, że przedsięwzięcie jest poważne i wykonalne, mimo to jednak, nie cofając się przed powtarzaniem się, zwrócę jeszcze raz uwagę czytelnika na zasadniczą różnicę, która musi istnieć zawsze pomiędzy przystępną nam znajomością przyszłości a osiągniętą już znajomością rzeczy minionych.

Ułomek przeszłości, z konieczności najbardziej ciemny i najmniej przystępny, to jest osobistem doświadczeniem zdobyta świadomość. Na jej podstawie oprzeć się nigdy nie zdoła prorocstwo naukowe. Ci, co stawiają horoskopy i chieromanci pokątni tak liczni, którym nikt nie wierzy a przynajmniej nie przyznaje się, że wierzy, ale których wszyscy mimo to się radzą, ci ludzie nie mają potrzeby bać się konkurencyi prorocstwa naukowego. Świadomość przyszłości, którą zdobyć mamy nadzieję, będzie ogólna a nie osobista, nie będzie to ten rodzaj świadomo-

ści, któryby zacieśniał wyładowanie naszej wolności osobistej i uwalniał nas od odpowiedzialności za czyny własne.

A teraz pozostaje jeszcze pytanie, do jakiego stopnia jest możliwą dzisiaj spekulacja na temat: „Jaką będzie ta przyszłość, odkryta powyżej naszkicowaną metodą?”

Nim się odpowie na tę kwestyę, ciekawą jest rzeczą zdać sobie sprawę ze spekulacji pewnych ludzi, którzy już w połowie ostatniego stulecia zwrócili się do przyszłości, jako do źródła, tłumaczącego i usprawiedliwiającego terażniejszość. Ci ludzie, to pozytywiści, których doktrynę dotąd wyznaje i rozwija Fryderyk Harrison, wbrew szerokim horyzontom, które od Comte'a odsłoniły się ludzkości. Kto czyta Fr. Harrisona a jest—jak przypuszczam—obznajomiony z ogółem nabytków, jakimi szczyci się wiedza ostatnich zwłaszcza pięćdziesięciu lat, musi doznać dziwnego wrażenia, natknąwszy się na ograniczoność pozytywistycznego poglądu na przyszłość.

O ile wiem, Comte nie rozumiał zupełnie odległej przeszłości, leżącej poza tą przeszłością, którą podają nam dzieje ludzkie, lub jeśli nie zupełnie jej nie rozumiał, to nie miał już napewno aż do końca świadomości jej stosunku do tych dziejów. W przeszłości ciasnej i ograniczonej, jaką przyjmuje, człowiek był zawsze podobnym do człowieka dzisiejszego. Comte nie umie sobie wyobrazić nawet człowieka przyszłego, różnego od ludzi doby obecnej. Spozstrzega—jak zresztą my wszyscy—że stary porządek społeczny, rozluźnia się i po zbadaniu bardzo niedokładnem, choć interesująco przeprowadzonym, sił powodujących to rozluźnienie, siada i kreśli plan porządku nowego, mającego stary zastąpić. Kto czyta Comte'a, temu narzuca się ustawicznie to jego pojęcie człowieka i społec-

czeństwa. Uformowały się raz stałe warunki społeczne i ludzkość ułożyła się według nich, osiadła. Potem przyszły wstrząśnienia, ludzkość została wyniesioną w górę, poczęła się ruszać, ale tylko po to, by osiąść za chwilę, ułożyć się do spoczynku na poziomie wyższym (w stosunku do poprzedniego), szczęśliwa, odrodzona, w stanie przetworzonym pozytywnie. Że zaś Comte musiał stanąć po tej stronie teraźniejszości, nie mogąc sięgnąć w przyszłość, że nie mógł się wznieść do wyższej koncepcji niż — człowieka, przeto musiał utrzymywać, że przyszłością ludzkości jest — ludzkość i to była najwyższa jego koncepcja.

Wszystko to wybornie się godziło z pojęciem myśliciela z pierwszej połowy XIX wieku. My jednak, stojący u rozkwitu XX wieku, my, urodzeni po wydaniu „Powstania gatunków“, nie możemy mieć żadnego powodu upierać się przy twierdzeniu tak ciasnem. Wyobraźnia nasza czerpie z ogromnej przeszłości, wobec której przeszłość dostępna Comte'owi, jest chwilką zaledwie, my widzimy, że człowiek i całe zbiorowisko ludzkie, jest to tylko faza obecna rozwoju, tak długiego i wspaniałego, że wobec niego okresy znane nam, wyglądają jak baśń dziecięca a wszystkie zdobycze ludzkości redukują się do wątych pałaców na piasku. Możemy sięgnąć wzrokiem wstecz na niezliczone szeregi milionów lat, widzimy wolę życiową, toczącą bój o wyzwolenie się z zawiązku pierwotnego, przedzierającą się z formy w formę, z mocy jednej w drugą, powstającą na nogi i kroczącą z zaufaniem po ziemi; widzimy, jak pokolenie po pokoleniu walczy o zdobycz powietrza lub o prawo zejścia w głębie i ciemności; widzimy, jak rozwścieklona zwraca się nieraz przeciw sobie samej, łaknąc zmiany swej postaci, widzimy, jak rozwija

swe zwoje, wypracowuje swe własne istnienie i zbliża się do człowieka, dążąc nieubłaganie do celów, których nie znamy.

Dosięga nas nareszcie, żyje w nas, tętni w mózgach naszych i arteriach, kołysze statki na morzu, szumi życiem miast, śpiewa w muzyce i kwitnie w sztuce ludzkiej. Gdy teraz od tego obrazu przeszłości, przerzucimy się w przyszłość, to nie może się ostać w umyśle przypuszczenie, by człowiek miał być produktem końcowym tej woli, celem jej ostatecznym. I fakt ten wielki, tajemniczy a narzucający się naszemu badaniu przyszłości, ta kwestya, co przyjdzie po człowieku, jest niezaprzeczenie jednym z najtrudniejszych a zarazem najponętniejszych problemów. A jednak, gdy idzie o przyszłość najbliższą, posiadamy kilka rysów ogólnych, wydających się dosyć pewnymi. Wszyscy dziś godzą się np. na to, że gęsto nagromadzone masy ludzkie, znajdują się dziś w zaczątkach okresu dyfuzji i zdradzają dążność zajęcia jaknajwiększej przestrzeni.

Równie wydaje się prawdopodobnem, że przynajmniej rasa białej ludności, zmuszoną będzie wznieść się w najbliższych dwu czy trzech dekadach bieżącego wieku o kilka stopni w górę po drabinie rozwojowej, że indywiduum ma tendencję doskonalenia się. Także niezbyt trudną jest rzeczą wyprowadzenie z obfitych danych faktycznych wniosku, że w najbliższej przyszłości, może nie w dwu następnych wiekach—jak mówi pewien optymista—ale w najgorszym razie, w najbliższych dwu tysiącleciach, ludzkość ostatecznie pocznie się organizować w wielkie światowe kompleksy i że wtedy wiele rzeczy zaciasnych trzeba będzie porzucić, wielu form zbyt zwierzęcych zaniechać i zapomnieć ogromnej ilości tych rzeczy, co dziś istnieją,

dzięki ograniczoności i płytkości osobników ludzkich, rzeczy, będących dziś smutnymi podwalinami ustroju świata. I wiemy, że w tem państwie światowem niema żadnych znamion formy absolutnej i ostatecznej, patrzymy na nie, jak na coś, co należy osiągnąć i przewyciężyć, przeczuwamy, że nie istnieje stan absolutnego bezruchu, o jakim śnią pozytywiści i tylko bardzo niewielu z pośród nas ma pełną i jasną świadomość, że po za rzeczami znanemi niema nic a nawet ta mniejszość, mówiąc o nicości, wyraża się mglisto i bardzo ogólnie. Ogół przestaje wierzyć w rzeczy czysto naoczne. Ta organizacya światowa, utworzona z ludów bardziej czynnych, bardziej uświadomionych, piękniejszych i zapalniejszych, leży już niejako na przeciwległym brzegu parowu, dzisiaj jeszcze urwiskiem przed oczyma naszymi zasłoniętem i wielu z nas dzisiaj jeszcze przez mgły tylko, jak złudzenie, widzi rozległe, wyblaskujące jak sny z oparów, pozbawione twardych, realnych kształtów płaskowzgórza strony przeciwległej. Szczegółów nie widać wcale, nie da się określić a wiara, że te równie szerokie przyszłości są pełne cudów i baśni, płynie jedynie z tęsknoty ducha ludzkiego.

Rzeczy dających się udowodnić—brak zupełny. Przypuszczam jednak, że większość żywi pewne przekonania, bez których życie duchowe w obecnym świecie byłoby pozbawione podstaw rozumnych i zgoła niemożliwe. Wszystkie one opierają się o pewne negatywne wierzenia, którym brak wszakże zasady naukowej. Życie nasze i zdolności są zdeterminowane, równie jak ich doniosłość w czasie i przestrzeni, nie jest przeto rzeczą nierozsądną poszukiwanie pojęć zasadniczych po za sferą umysłu i opieranie ich o wiarę. Wpleciona we wszelkie spekulacye tego rodzaju żyje wiara bardzo jasna i silna, że ani ludzkość,

ani żadne indywiduum nie istnieje na darmo. I tutaj właśnie na akcie wiary zmuszeni jesteśmy budować, po za sferą przewidywań, gmach możliwości, gmach prawdopodobieństw, przeczących nieraz naukowej możliwości, ale nie mogących być przez żaden wyrok wiedzy wykluczonymi. Należy przyjąć niemożliwość zaprzeczenia, dlaczego pewne przyczyny nie miałyby zniszczyć i zakończyć istnienia rodzaju ludzkiego i jego dziejów, dlaczegoby noc wieczna nie miała nagle zstąpić i unicestwić naraz wszystkich marzeń i wysiłków naszych? Można sobie łatwo wyobrazić, że np. jakieś wielkie masy materii niespodzianie spadają na nas poprzez przestrzeń, rozbijając słońce i planety, jak wichry kupę zeschniętych, jesiennych liści i niszczą na ziemi każdą iskrę życia. W granicach ciasnych, w których wolno się poruszać świadomości jasnej człowieka, jest to wyobrażenie całkiem możliwe. Cała wiedza nie jest zdolną tej możliwości wykluczyć. Podobnie wyobrazić sobie jesteśmy w stanie, że jakaś zaraza, jakaś choroba nowa pojawi się nagle i zabierze nie dziesięć, piętnaście lub dwadzieścia procent ludności, jak znane dotychczas epidemie, ale sto na sto i położy kres naszemu istnieniu. Nikt ze stanowiska czysto naukowego nie może powiedzieć, że coś podobnego stać się nie może. Nikt nie może twierdzić, że olbrzymi jakiś rozkład atmosfery, kometarna jakaś trucizna, płynąca przestrzenią, silny wyziew par z wnętrza ziemi—to rzeczy sprzeczne z nauką i niedopuszczalne. Mogą wytworzyć się nowe gatunki zwierząt, które nas zdziesiątkują na ziemi lub morzu, mogą pojawić się połączenia chemiczne zabójcze, lub umysł ludzkości uleść może jakimś obłędowi destrukcyjnemu. A na koniec, gdzież jest rozumna pewność, że słońce nasze nie gaśnie i nie idzie szybkim krokiem do swego końca? To jest nawet przewi-

dziane i musi nastąpić. Słońce oziębia się coraz bardziej, planety wirują coraz leniwiej, aż nadejdzie dzień, w którym ziemia nasza zwiśnie prawie bez ruchu, martwa i skostniała a wszystko co żyło, zginie z nią na zawsze. Ludzkość wtedy zginie na pewno. Pomiędzy widmami, to jest najrealniejsze

A jednak w to się nie wierzy.

Ja przynajmniej w to nie wierzę a nie wierzę dlatego, bo przyszedłem na świat, by wierzyć w rzeczy inne, w porządek logiczny świata i wielkość przeznaczeń ludzkich. Światy mogą oziębnąć i słońca zamrzeć a w głębinach człowieka jest coś, co śmierci uraga.

Wyznaję, że gdy patrzę na siebie i innych bliźnich, jako na ostatni wytwór ziemi, niebardzo mię zachwycają. Nie mógłbym należeć do adorujących ludzkość szczerze i na seryo. Pomyślmy tylko o faktach pozytywnych. Zapewne każdy z nas przeżył chwile, w których doznał zdziwienia jak Swift na myśl, że ta mała istota—człowiek, może być dumną z siebie. Są chwile, w których śmielibyśmy się wraz z Demokrytem a chwile te byłyby nierównie liczniejsze, gdyby widok małości ludzkiej nie miał w sobie tyle smutku na dnie. Ale świat nie tylko jest pełen smutku, drży on także od obietnic i nadziei. Jakkolwiek jesteśmy mali, smutni i zmysłowi, po za nami leży era, gdyśmy byli jeszcze mniejsi. I właśnie ten długi łańcuch rzeczy minionych, usuwa podstawę rozpacz. Wiemy dzisiaj, że nasz byt organiczny w epoce węglowej był reprezentowanym przez coś zimnokrwistego, o śliskiej skórze, coś, co żyło między wodą a powietrzem, uciekało zaś przed olbrzymiami potworami epoki.

Tęgi uszliśmy kawał drogi, mimo szaleństw, zaślepień i cierpień istnienia a przestrzeń przebyta daje przedsmak



drogi, którą przejść jeszcze mamy. Dlaczegożby rzeczy kończyć się miały na człowieku? Dlaczegożby ta linia krzywa wstępująca, nie miała wznosić się wyżej coraz szybciej i wyraźniej? Mnóstwo faktów przemawia za tem, że żyjemy w okresie przyspieszonego i bezprzykładnie bujnego rozwoju. Warunki, w jakich ludzie żyją, zmieniają się z rosnącą wciąż szybkością a jak daleko nasza wiedza sięga, wiemy, że żaden gatunek nie zdołał żyć w odmiennych warunkach, nie doznając bardzo głębokich przemian. Warunki życia ludzkiego doznały w wiekach ostatnich więcej zmian niż w całym poprzednim tysiącleciu. Przed niespełną stu laty poszukiwacze i odkrywcy, byli to rzadkie i luźne zjawiska, gdy teraz poszukiwanie i wynalazczość jest dziełem ogromnej i zorganizowanej armii. Bieżący wiek ujrzy przemiany, które do zera zredukują dorobek wieku XIX, co zakasował zupełnie wiek XVIII. Nie widać nigdzie żadnego znaku, pozwalającego przypuszczać, że ten rozpęd wkrótce się skończy i że sen pozytywistów, rekonstrukcyi społecznej i nowej fazy statycznej kultury, ziści się kiedykolwiek. Społeczeństwo nie było nigdy z natury swej statyczne a wkrótce przestanie usiłować wydać się takim. Wszystko nam każe wierzyć, że wstępujemy w okres rozpędu przyspieszonego, który będzie stale rósł i biegł ruchem coraz to żywszym i coraz pewniejszym. Reorganizacya społeczna, która obecnie odbywa się pod powierzchnią tradycyjną rzeczy, jest reorganizacyą kinetyczną. Wehodzimy w znak ruchu. Zwinęliśmy raz na zawsze obóz, jesteśmy w pełnym marszu i znajdujemy się w okresie największej przemiany, jakiej kiedykolwiek doznała ludzkość. Wprawdzie żadnej ery nie zaznacza katastrofa, podobnie jak wschodu słońca w mglisty poranek. I nie możemy powiedzieć: Tu jest początek a tam koniec, ta

cała minuta należała jeszcze do nocy a ta już jest dniem, ale zwolna i nieznacznie rozwój się odbywa, jak dzień wstaje. Gdy jednak spojrzymy, uderza nas wzrost świadomości porządku, wznoszenie się rasy ludzkiej a z faktów obserwowanych pozwala wysnuć wnioski, które wsparte wyobraźnią, muszą nas natchnąć wiarą w przyszłość.

I narzuca się myśl, że cała przeszłość nasza, to tylko zaczątek, że to co było, to tylko jutrzienka, co zgasła przededniem, że wszystko, co osiągnął umysł ludzki, jest to sen tylko przed obudzeniem się. Nie możemy wiedzieć, jaki będzie obraz świata, gdy ten wielki dzień nadejdzie, ale jest to też zbyteczne. Jesteśmy tworamii blasku a umysły ludzi przyszłych wybiegną po za sferę naszej rasy, zwrócą wzrok swój na nas i poznają lepiej niż my sami znamy siebie a potem pójda bez obawy w przyszłość daleką, zakrytą oczom naszym. Świat cały przeniknięty jest nadzieją wielkich rzeczy i nadejdzie wkrótce może wielki dzień, w szeregu nieskończonym dni oznaczony, gdzie istoty ukryte dziś w naszych myślach, tęsknoty duszne daremnych porywów naszych, staną twardo i silnie na ziemi, wybuchną wielkim, szerokim śmiechem życia, wyciągną ręce i dostaną gwiazd.

---

# Nauka dobroczynności.

---

## I.

### „Pomoc sierotom“.

---

W chwili, gdy znakomity publicysta nasz, Bolesław Prus, zajął się kwestyami dobroczynności na podstawie artykułów ks. W. Kirchnera i wraz z tym ostatnim wskazuje drogę badań naukowych nad formami dobroczynności i przejawami niedoli, nie od rzeczy będzie zaznajomić naszych czytelników z pracą nad osłabieniem biedy i jej skutków, jaką w szerokim zakresie wprowadziły i konsekwentnie we wszelkich kierunkach rozszerzają pewne sfery żydowskie dla swych współwyznawców.

Z góry zastrzedz się musimy przeciw możliwemu imputowaniu nam jakichś wyjątkowych chęci wystawiania „na pokaz“ filantropii żydowskiej... Jesteśmy ludźmi—i... „wszystko, co do polepszenia bytu ludzkości dąży, nie powinno nam być obce“. Widzimy u samego narodu, lub w pewnej sferze, w pewnej grupie ludzi, rzeczy godne naśladowania i stawiamy je ogółowi jako przykład, jako drogowskaz.

Dlatego też, na innem miejscu, pisaliśmy o kredycie dla przekupniów; dlatego też przedstawimy formę pomocy sierotom, która obecnie wchodzi w nową fazę rozwoju.

Przed dwoma przeszło laty, grono osób ze sfery żydów nalewkowskich, zajęło się „zbieraniem sierot na ulicy“,

w dosłownem znaczeniu tych słów, by z kandydatów na złodziei i prostytutki, zrobić uczciwych i pożytecznych członków społeczeństwa. Przyznać trzeba, iż pierwsi inicjatorzy tej pomocy nie byli sami przez się dla nas sympatyczni, z powodu swych dążeń separatycznych (syonizmu), pomimo to, zdołali oni wśród swoich współwyznawców rozmaitych przekonań, zebrać tyle członków i ofiar, iż zmuszeni byli pomyśleć o jakiejś formie legalnej organizacji. I oto półtora roku temu weszli, jako sekcya, do istniejącego Towarzystwa dobroczynnego, noszącego nazwę: „Pomoc bratnia“.

Zdaje się, iż ta sekcya jest tylko etapem w rozwoju „Pomocy dla sierot“, liczącej w obecnej chwili dwa tysiące członków i dziesięć tysięcy rubli dochodu ze składek i ofiar. Towarzystwo ma pod swoją opieką 174 dzieci: 151 chłopców i 23 dziewcząt, z tych, urodzonych: w Warszawie 82 chłopców i 14 dziewcząt, w Królestwie Polskiem 51 chłop. i 6 dziew., na Litwie 18 chłop. i 3 dziew.; razem 151 chłop. i 23 dziewcząt. Widzimy zatem, iż największy kontyngens dostarczają dzieci, urodzone w kraju. Dzieci te umieszczono, chłopców u: kamaszników 22, szewców 9, krawców 19, tokarzy 25, koszykarzy 8, introligatorów 9, jubilerów 5, czapników 11, rękawiczników 9, techników 2, do różnych fabryk 10, w chederach, dzieci niezdolnych do pracy, 22; razem 151; dziewczyny u szwaczek 3, w pracowniach krawatów 3, w pracowniach sztucznych kwiatów 5, w pracowniach kapeluszy 1, na pensyonacie z powodu młodego wieku 11; razem 23. Koszt utrzymania: Każde dziecko kosztuje rocznie: ubranie 15 rubli, buty 8 rb., inne wydatki 4 rb., nauka 30 rb.; razem zeledwie rubli 53.

Utrzymanie zaś młodszej sieroty w pensyonacie, kosztuje więcej, bo 90 rubli rocznie. Dzieci te rekrutują się ze sfer najniższych, w których ogrom nędzy jest zbyt

trudny do opisania, wprost przeraża i łyzy wyciska. Dzieci przychodzą okryte łachmanami, zupełnie bez bielizny, głodne, zziębnięte, z zapadłymi policzkami, ze strupami na ciele, wskutek złego odżywiania i brudu. Celem sekcji „Pomocy sierotom“, jest nie tylko zaspokojenie głodu i przyodzianie nagich, ale stworzenie generacji, ludzi umiejących uczeiwie i możliwie samodzielnie na chleb pracować, bez ciężaru i krzywdy dla społeczeństwa wśród którego żyją. Aby dać łaskawemu czytelnikowi poznać jakie właściwie sieroty są przez członków sprowadzane, przytoczymy kilka przykładów z praktyki towarzystwa:

1). Jeden chłopak, trzynastoletni, został znaleziony przez członka komitetu na ulicy, w nocy. Okazało się, iż nie ma ani imienia, ani nazwiska. Wskutek starań, p. oberpolicmajster nadał mu imię Izaaka Abramowicza i w ten sposób wyrobiono mu metrykę.

2). Dwóch braci (sieroty), znajdujących się pod opieką Towarzystwa, poznało się przypadkowo, w czasie modlitwy w synagodze.

3). Prostytutka sprowadziła siostrę swoją, sierotę, do zarządu Towarzystwa i błagała o przyjęcie dziecka, które inaczej, musiałyby pójść w jej ślady. Naturalnie, sierota została przyjętą.

4). Jeden chłopak (sierota), został znaleziony przez członka komitetu na cmentarzu żydowskim, gdzie po śmierci ojca pozostał, nie mając gdzie mieszkać i z czego żyć.

Towarzystwo „Pomoc sierotom“, doczekało się już pociechy. Jeden z wychowawców, siedemnastoletni, zarabia na siebie i w gorących słowach podziękował za dotychczasową opiekę. Organizacya Towarzystwa nie jest zbyt złożoną, składa się z komitetu, czyli zarządu i następujących komisyj:

1-o. Komisya przyjmowania dzieci i oddawania do różnych majstrów.

2-o. Komisya pedagogiczna, zajmująca się ułożeniem dzieci do szkół i kontrolowaniem ich postępów.

3-o. Komisya opiekuńcza. Każde dziecko posiada swego opiekuna, który ma obowiązek często, przynajmniej co tydzień, odwiedzać swoje dziecko i zbadać na miejscu stosunek majstra do dziecka i odwrotnie. Opiekun występuje skargi jednej i drugiej strony i stara się wprowadzić pewną harmonijną zgodę, wywierając wpływ dodatni, tak na majstra, jak i na sierotę. Komisya kontroluje, czy opiekun sumiennie wykonywa przyjęty obowiązek. Każdy opiekun notuje wrażenia swojej wizyty w specjalnie na ten cel wyznaczonych książeczkach.

4-o. Komisya gospodarcza zajmuje się przygotowaniem ubrania, butów i bielizny dla dzieci.

5-o. Komisya sanitarna składa się z lekarzy, którzy od czasu do czasu badają dzieci pod względem ich zdrowia.

6-o. Komisya ekspertów. Towarzystwo, pragnąc wychować dzieci swoje na dobrych majstrów a nie na fuszerów i partaczy, zaprosiła kilku renomowanych rzemieślników z każdego zawodu, którzy egzaminują dzieci z ich postępów w danem rzemiośle i swoje uwagi komunikują zarządowi Towarzystwa.

Ten rozumny rozdział obowiązków, umożliwia pracę celową i rozwój Towarzystwa. Wobec jednak ogromnej liczby bezdomnych sierot—bo obliczono, że ich w Warszawie jest co najmniej sześć tysięcy—to, co już zrobiono, jest zaledwie drobną cząstką. Zarząd zatem postanowił wyjść z ograniczonej działalności i zaznajomić z celami szerokie sfery, nawet zupełnie obce kierunkowi separatycznemu

i temu odłamowi zamiejscowych żydów, z których prawie wyłącznie członkowie „Pomocy sierotom“ dotąd się składali. „Nie chodzi—mówił wymownie jeden z członków komitetu—ani o wierzenia, ani o zasady, ani o język, ponad niemi stoi niedola. „Res sacra miser“—oddajemy wam wszystko cośmy zrobili, prowadźcie dalej w waszym duchu, aby jaknajwiększą liczbę biednych istot podnieść z nędzy i nieszczęścia“.

Na przedwstępnem posiedzeniu w ubiegłym miesiącu, na którym poraz pierwszy było kilkanaście osób z miejscowej inteligencji żydowskiej, postanowiono przedewszystkiem starać się o możliwie wielką ilość członków nowych, następnie o wyjednanie u gminy bezpłatnego pomieszczenia dla dziewczątek i uczęszczania sierot do szkół wieczornych przy gminie, mających dążność wychowawczo-asymilacyjną. Kilku też z obecnych przyjęło mandat do komitetu „Pomocy sierotom“, by tym sposobem zmanifestować społeczny charakter instytucji i nazwiskami swemi pociągnąć licznych członków.

Czyż mam jeszcze dodać, iż cel Towarzystwa, które dążyć będzie obecnie do samodzielności, ma wysokie—etyczne i cywilizacyjne znaczenie? Fakty przytoczone—mówią aż nadto jasno i wyraźnie. Bez balów, rautów i zabaw, bez biurokratyzmu i tytułów, kosztem kilkurublowym na osobę, wydarto z zagłady moralnej i fizycznej prawie dwie setki sierot a przy dalszej pracy będzie ich tysiące. Potrzeba tylko więcej serc litościwych, na niedolę wrażliwych i więcej ludzi dobrej woli.

I tym, tę kartkę z życia wydartą, przedstawiam.

Edward Dutlinger.

## II.

**Organizacya Dobroczynności  
w Londynie.**

Mamy na myśli nie organizacyę dobroczynności publicznej, która stanowi, jak wiadomo, odwieczną instytucyę zarządu lokalnego w Anglii, lecz t. zw. Azarity Organizator Society, prywatne stowarzyszenia, z których pierwsze: londyńskie, powstało już w 1869 r. a które następnie rozmnożyły się prawie we wszystkich większych i średnich miastach Zjednoczonego Królestwa a dalej— w Kanadzie i Australii i nawet w wielu miastach Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Punktem wyjścia do założenia „Towarzystwa organizacyi dobroczynności“ w Londynie, które służyło za pierwowzór innym, było przekonanie o bezcelowości a często i szkodliwości jałmużn, dawanych dorywczo, nawijającym się żebrakom. Dlatego właśnie Towarzystwo to zasługuje na uwagę, że starało się zaradzić marnowaniu środków, przeznaczonych na cele dobroczynności i w ten sposób zapobiedz zniechęceniu, które ogarniało publiczność, skłoną do dobroczynności. W tym celu, Towarzystwo starało się przedewszystkiem zaprowadzić stałe porozumiewanie się między wszystkimi prywatnymi stowarzyszeniami i zakładami dobroczynnymi, oraz jednostkami, zajmującemi się filantropią na własną rękę. Porozumiewanie się takie, aby być skutecznem, musiało być zaprowadzone przedewszystkiem na najwyższym stopniu, tam, gdzie dobroczynność



bezpośrednio styka się z nędzą. Cała stolica została więc podzielona na okręgi i w każdym okręgu utworzona dobrowolna komisya, do której weszli i wchodzi: duchowni miejscowi, delegaci dobroczynności publicznej, członkowie i urzędnicy kas pomocy, nauczyciele szkół elementarnych, dyrektorowie różnych zakładów, szpitali i t. p., jednym słowem osoby, znajdujące się w bezpośredniej styczności z biedną ludnością miejscową i znające doskonale miejscowe stosunki. Te komisye miejscowe są najżywoźniejszymi organami Towarzystwa. Zbierają się one na stałe posiedzenia najmniej raz na tydzień a każde ma jednego sekretarza i kilku pomocników sekretarza; sekretarze ci, między którymi jest bardzo wiele kobiet, muszą codziennie po kilka godzin dyżurować w lokalu komisyi; oni są nie tylko wykonawcami jej postanowień, lecz zarazem inicjatorami, duszą całej działalności.

Główną, przewodnią ideą komisyj i całego Towarzystwa jest usunięcie wszelkiej szematyczności w traktowaniu potrzebujących pomocy, wszelkich nałogów biurokracyjnych; przeciwnie, nad każdym wypadkiem indywidualnym toczą się gruntowne narady i komisya stara się zawsze zastosować do każdego wypadku odpowiednie środki zaradcze. Coprawda, komisye ułatwiają sobie zadanie w ten sposób, że biedaków, pozbawionych niewątpliwie wszelkich środków — i co do których niema nadziei wyprowadzenia ich z tego położenia, pozostawiają dobroczynności publicznej, oficjalnej, która, jak wspomnieliśmy, posiada w Anglii odrębną organizację i znaczne fundusze; w ten sposób Towarzystwo może skoncentrować wszystkie swe wysiłki na takich biedaków, którzy chcą sami się z nędzy wydobyć i potrzebują do tego trochę pomocy, bez której rady sobie

dać nie mogą i giną, albo demoralizują się; zresztą i z pomiędzy tych, którym już poradzić nie można, którzy wymagają ciągłej pomocy, komisye jednak biorą pod swoją opiekę takich, którzy nie są do gruntu zdemoralizowani nędzą, których godność cierpi widocznie od otrzymywania zapomogi oficjalnej. Rzecz oczywista, że pojęcia „własnej winy“ i demoralizacji są względne; nie idzie też tutaj wcale o potępienie i pogardę dla pewnej kategorii żebraków, tylko o wybór między różnymi kategoriami, konieczny wobec ograniczonych funduszków a dopuszczalny tembardziej, że resztą opiekuje się w Anglii dobroczynność publiczna. Faktem jest, że ofiarodawcy prywatni zniechęcają się, gdy pieniądze ich rzucają się, jakby do beczki bez dna—i nie przynoszą żadnych widocznych rezultatów a tak się dzieje, gdy wydawane są przeważnie na pomoc ludziom zupełnie, nieuleczalnie zpauperyzowanym.

Komisye Towarzystwa londyńskiego liczą się z psychologią tak potrzebujących, jak i ofiarodawców, unikając wszelkich norm ogólnych, rozpatrując i rozstrzygając każdy konkretny wypadek oddzielnie. W imię tej zasady, przedewszystkiem zebranie komisji, ewentualnie któryś z sekretarzy bada osobiste stosunki potrzebującego, czy to osobiście zgłaszającego się o pomoc, czy też wyszukanego i podanego do wiadomości komisji przez kogoś z członków. Jeśli można, to odszukuje się krewnych potrzebującego, przyjaciół i znajomych, dawnych pracodawców; pozwala to poznać go i zarazem uzyskać pomoc. Jednym potrzebującym wyszukuje komisya odpowiednie zajęcie, innym dostarcza brakujących narzędzi pracy, np. maszyny do szycia, innych wysyła na swój koszt do miejscowości, gdzie mogą się utrzymać, lub oddaje do szpitali lub przy-

tułków. Często też jeden z członków komisji otrzymuje i przyjmuje chętnie polecenie utrzymywania stałych osobistych stosunków z osobami, otrzymującymi pomoc, co wpływać może bardzo dodatnio na ich energię, wytrwałość i umoralnienie.

Prócz tego, Towarzystwo na zasadzie doświadczenia, zrobiło bardzo śmiały krok: zupełnie zniósło stały budżet i umyślnie nie posiada żadnych ogólnych funduszków, z których mogłoby czerpać. Posiadanie bowiem takich ogólnych funduszków stanowi pokusę do biurokratycznego traktowania potrzebujących—do wydawania pieniędzy bez dostatecznego zbadania każdego wypadku. Zamiast tego, komisya, zbadawszy stosunki i potrzeby każdego danego biedaka, dla każdego z osobna szuka środków materialnych. Ponieważ składa się ona z osób, dokładnie znających stosunki miejscowe, więc znajduje zawsze dobrą drogę, wie, do kogo zwrócić się w każdym wypadku, kto na jaki rodzaj nędzy i potrzebę jest najbardziej wrażliwy; ofiarodawcy przedstawia się każdy wypadek mniej, lub więcej szczegółowo i jeśli mu zależy na tem, to może dowiedzieć się i później o tem, jaki skutek wywarła jego pomoc. Doświadczenie wykazało, że taki sposób postępowania jest dla ofiarodawców wielką zachętą; od czasu zniesienia budżetu ogólnego, dochody się znacznie powiększyły i komisye nie skarżą się na brak ofiarności.

W celu spotęgowania swej działalności i udzielania sobie nawzajem informacji i spostrzeżeń, łączą się one ze sobą, stanowią właśnie Towarzystwo organizacji dobroczynności w Londynie. Wspólnymi sprawami zawiaduje rada główna, która składa się z delegatów komisji lokalnych, po czterech lub pięciu w każdej z czterdziestu istniejących obecnie — i prócz tego z członków kaptowanych

w liczbie nie większej nad  $\frac{1}{4}$  delegatów; rada wybiera corocznie odpowiedzialny zarząd z dwudziestu członków, rozpadający się na podkomitety specjalne. We wszystkich tych ciałach bardzo liczny udział mają kobiety. Sekretarz generalny rady jest to doświadczony fachowiec, który urzędowi swojemu oddaje się w zupełności i pobiera 800 funtów szt. (8,000 rb.) pensyi rocznie. W ostatnim roku dochody, któremi zarządza rada główna, używając ich głównie na cele wydawnicze, organizacyjne, wyniosły 17,721 funtów szt., w tej liczbie  $4\frac{1}{2}$  tysiąca ze składek członków, reszta z darów dobrowolnych. Dochody zaś komisji przeszły 40,000 funtów szt. czyli milion franków, z czego prawie połowa wydawana była na stałe renty dla biednych, reszta—na zapomogi czasowe.

Towarzystwo stara się rozpowszechnić swe racjonalne zasady organizacyi dobroczynności; w tym celu wydawany jest miesięcznik „Charity Organization Review“ i odbywają się corok zjazdy wszystkich tego rodzaju towarzystw Anglii, Szkocyi i Irlandyi.

R. S. Ławski.

---

## Piśmiennictwo polskie.

---

Helena Ceysingerówna: „Duchy-żórawie“.—Władysław St. Reymont: „Z pamiętnika“. — Michał Mutermilch: „Smutne dusze“.

---

Pierwsza stronica książki p. Ceysingerówny przyozdobiona jest skryzalizowaną białą-gołębią łzą zachwytu, czyli pajęczynowo-marzeniowo-krytycznym wstępem p. Józefata Nowińskiego. Pomimo tego stempla warszawskiego, „Duchy-żórawie“ mają zapaszek specyficznie galicyjski: należą do literatury programowo-nawracająco-stańczykowsko-kaznodziejskiej a więc uczą za pomocą bajki czarodziej-skiej z rzeczywistym sensem moralnym — „Rycerze“ — że ziemi nie należy sprzedawać baronom von Walterskirchom, że tembardziej nie należy się żenić z ich siostrzenicami a to wszystko dlatego, że w stanie gorączkowym widzi się wyjeżdżające z lasów dziedzicznych hułce rycerzy-duchów, i t. d. Obrazek „Na żalniku starym“, mógłby dodatniejsze wywrzeć wrażenie, gdyby nie to, że autorka nie lubi zostawić nic domysłowi czytelnika, nie znosi niedopowiedzeń i ubiera wszystko w sukienkę programowości i gorseciki sensu moralnego. Pan Rewitzky jest doskonałym agronomem, jego gospodarstwo rolne Eulenheim, jest pod każdym względem wzorowe, ciąży na niem jednak „maleńka plamka“, nieużytek... cmentarzysko stare. Długo

się wahał von Rewitzky i wreszcie zdecydował usunąć stary żalnik a miejsce przezeń zajmowane na ziemię uprawną zamienić; rozkopują więc kurhany, znajdują w nich urny z popiołami a von R. jest o tyle parobkiem a zarazem tak mało praktycznym—Prusakiem, że miast sprzedać te zabytki jakiemuś towarzystwu archeologicznemu za pewną ilość marek, każe urny rozbić a popioły na użyźnianie gruntu rozsypać. Czy to nie za brutalne nawet dla Prusaka? Mniejsza z tem zresztą, bo p. Rewitzky został należycie ukarany: syn p. R. z pierwszego małżeństwa — pierwszą żoną p. v. Rewitzky'ego była Polka — zostaje tegoż samego dnia w Poznaniu aresztowany za sprawę „młodzieży polskiej“. I jak tu nie uwierzyć w harmonię, Opatrzność i sprawiedliwość. Raduj się p. Teodorze, dwóch nazwisk, Choiński, boś został dziadkiem; opowieść o popiołach, to rodzoniuteńki wnuczek twoich „Iskier stłumionych“, raduj się podwójnie, bo chrzciny były jak się należy a ojcem chrzestnym nie byle kto, lecz twa dusza bratnia, skromny, potulny niewolnik... Oblęgorka, pogromca Przybyszewskiego, sam pan Józefat Nowiński. My jednak zachwyty autora „objektywnych studyów“ podzielić nie możemy, bo p. C. ani razu do nas nie przemówiła, bo dała nam rzeczy stare, znane alte Geschichten die aber nimmer neu werden. Przyznajemy jednak, że opowiedziała je językiem poprawnym, nie bez zdolności i z pewnym wdziękiem nawet („Druid skamieniały“, „W bój“ i „Dwaj niewolnicy“). Wdźwięk, pewne zdolności i język poprawny z jednej strony a z drugiej brak plastyki, brak wyraźnych konturów nawet, tematy: krem waniliowy, czekolada i naleśnik z serem, na bardzo czyściuteńkiej srebrnej, wyperfumowaną serwetką pokrytej tacy, podane na stół ekscelencyi profesora Tarnowskiego np.

Wszystkie w książce p. Ceyssingerówny pomieszczone obrazki odznaczają się porządną robotą i... brakiem artyzmu, lecz za to wszystkie są tak poprawnie celibatowo-chrześcijańskie, że gdyby ks. Perosi a nie p. C. był ich autorem, to i wtedy mógłby być nadal... kierownikiem kapeli sykstyńskiej i bywać na kawie u p. Rajchmana.

To właśnie wprawiło w zachwyt p. Józefata i temu zawdzięczać należy, że on, który już napisał grubą książkę o Sienkiewiczu, poświęcił kilka słów wstępu książce nieznaney autorki, aby pokazać tym rzucającym się „pijankom i zdechlakom“, że można być młodym i mieć przyzwoite estetyczne, zlekka patryotyczno-szowinistyczne, ideały i wiedzieć o tem, że w świecie całym a zwłaszcza u nas, panuje harmonia, sprawiedliwość, ergo hegemonia i hierarchia a między innymi i kościelne także być muszą.

Złośliwi utrzymują, że obrazek p. Władysława Reymonta „Z pamiętnika panny Hali, jej „Pa“ i „Ma“ jest utworem nawskroś tendencyjnym, pisany „pro domo“ w celu przekonania panów akcyonaryuszów kolei warszawsko - wiedeńskiej, że pieniądze w swoim czasie od nich otrzymane, należały się autorowi „Ziemi obiecanej“ bardzo słusznie... Nam geneza wyżej wymienionego utworu zdaje się prostsza: p Reymontowi znudziła się powaga a przytem pokusił on się o pewną, że tak powiem, wszechstronność i powiedziawszy sobie: mają mnie za pisarza społeczno-obyczajowego a ja im pokażę, że jestem też wcale dobrym humorystą; uważają i traktują mnie, zdaje się nie bez słuszności, jako człowieka poważnego a ja na złość „wezmę i fiknę kozła“; chciał tem wywołać nie uznanie, podziw, zachwyt, i t. d., które mu na razie, nie wystarczały, lecz ze zdębieniem graniczące zdumienie, wyrażające się, mówiąc wulgarnie, rozdziawieniem gęby, wysu-

nięciem języka i mruganiem powiek—knall Efekt! Powiedział i zrobił, bo — zdaniem naszym — „Z pamiętnika“, pomimo tła satyryczno-ironicznego i niezłej obserwacji, jest dość trywialnym konceptem, tylko o dowcipie tak płaskim, że w swoim czasie raził nawet na szpaltach „Kuryera Warszawskiego“.

Obserwacya ścisła, realizm bezwzględny, prawie że brutalny i talent duży—oto części składowe „Jesiennej nocy“, sceny z życia ludu, która wywołała w nas uczucie zgrozy i strasznego smutku, zrodzonego z pogardy i litości dla tego tak żyjącego ludu. Młynarczyk Piotruś uwiódł dziewczynę z pobliskiej wioski. Marychnę— tak się dziewczyna nazywa—„wygnali ze służby, wygnali ją z domu“; biedaczka niema się gdzie podziać z dzieckiem małym, więc zanosí je jemu... Piotrusiowi, rzuca na łóżko i ucieka. Młynarczyk wypada za nią jak zwierz wściekły, dopada tej, jak ją nazywa, sukí i katuje niemiłosiernie a tymczasem pijak Mateusz, który wraz z gromadką chłopów był świadkiem całej tej sceny, postanowił, jako bezdzietny, zaadoptować dzieciaka. I choć jest tak pijany, że ledwie się na nogach utrzymać może, nikt mu tego nie broń, bo cóż obce a zwłaszcza takie dziecko, chłopów obchodzić może, tembardziej, że wiedzą, iż młynarczyk będzie rad, że się nieproszonego gościa pozbył, matka zaś dziecka zabronić mu tego nie może, bo leży teraz na podwórzu, jęczy i błaga o litość bijącego ją wciąż kochanka a Piotruś ją... tę sukę, kopie... kopie...

I idzie pijany Mateusz do domu, przez zamarzające torfowisko idzie, zatacza się, chwijeje, ale idzie mrucząc po pijanemu, uspakaja żałośnie piszczące w pole kożucha trzymane dziecko. Wiatr hula po błotach, zimno przejmujące przenika go aż do kości a Mateusz idzie, idzie jak



automat, ale idzie. Wreszcie „puścił poję, zabił potężnie ręce o ramiona i pijanym, sennym głosem zaśpiewał: Oj, dyna, moja dyna, oj! cały świat rodzina, a jak cię śmierć ułapi... oj! poratunku niema. Oj!... Z błota odpowiada mu cichy, przerywany, dławiony krzyk dziecka...

Pięknym jest również obrazek „O zmierzchu“, w którym autor „Fermentów“ dał historję ostatnich chwil i konania starego, zapomnianego wierzchowca Sokola. Temat stary, ale wykonanie tak nawszkroś artystyczne, obrazowanie tak plastyczne, tak mistrzowskie, że obrazek ten śmiało zaliczyć można do perełek naszej literatury nadobnej. Cały tomik, prócz „Pamiętnika“ ma się rozumieć, czyta się z przyjemnością a niektóre rzeczy, jak „Przy robocie“ i „W porębie“, wywierają głębsze wrażenie. „Dwie wiosny“ i „Legenda wigilijna“, są utworami zupełnie słabemi.

Tomik pana Muttermilcha można podzielić na dwie części — na obrazki, rzeczy nawszkroś szczere i pisane z dużym talentem i obrazki bretońskie — utwory troszeczkę już robione, choć również nie bez talentu skreślone... „Smutne“, bardzo smutne, dusze spozierają ku nam nietylko z każdej nowelki i obrazka, lecz z każdej kartki książki p. Muttermilcha. Dwie piękne córki było ich u matki i obie go kochały; on kochał i mógł kochać tylko jedną, więc druga wyszła za mąż—za człowieka, którego nie kochała i smutne było życie tej biednej, smutnej, miłości spragnionej duszy.

On z siostrą jej był bardzo szczęśliwy, życie ich było jednym pasmem rozkoszy, miłości i szczęścia. Po kilku latach odwiedził miasto, w którym siostra żony mieszkała, zamieszkał u nich i.. zrozumiał, dlaczego ona swego męża nie kochała. A w chwili tego zrozumienia byli sami,

tylko sami, na nią padały promienie rannego, śmiejącego się letniego słońca, była tak piękną... kochała go... a on był malarzem... no i mężczyzną także.

Potem wrócił do żony... tamta się otruła a on żył... bo napisała mu przed śmiercią: „zlituj się nad Adamem. Twoja śmierć po mojej odkryłaby wszystko“. Więc i żył i malował... „Wizję szczęścia“. Smutek jego duszy jest zasłużonym... jest odkupieniem, lecz reszta smutnych, z książki p. Muttermilcha, to ludzie czyści, bez winy cierpiący... Dwoje ludzi: kobieta i mężczyzna, oboje mają warunki i prawo do szczęścia, oboje na nie zasługują, lecz oboje cierpią strasznie, bo on ma żonę, która jest mu ciężarem a ona męża przejmującego ją wstrętem a choć się teraz spotkali — spotkali się — zapóźno i Tabu.. Oto treść „Spotkania“, które obok „Panny Julii“, jest najpiękniejszym obrazkiem pięknej tej, z dużym, szczerym talentem napisanej książki.

Jan Adolf Hertz.

---

# SZTUKA I LITERATURA.

---

## Kobieta i Sztuka.

---

Kobieta zajmuje w sztuce bardzo ważną rolę; już w epoce, pomiędzy wiekami XVII a XVIII, to jest, w epoce przejściowej „baroku“ do stylu „rococo“, nie pozostawał bez wrażenia jej wpływ na sztukę. Później, kiedy „empire“ święcił tryumf i jeszcze później, kiedy nastąpił świeży zwrot w sztuce, kobieta przeczuła, że dla adeptów sztuki musi nastąpić wyzwolenie. Julia Preisler; Maryanna Haid; Tischbeina żona i córka; wielkiego Rafaela Mengsa siostry, wreszcie Katarzyna Treu—stanowią grupę, z pośród której niejedna zajmowała stanowisko profesora, lub zasiadała w przybytkach sztuk pięknych. Jednocześnie zaś rozpoczął się i ruch w świecie artystycznym kobiet francuzkich.

Daliśmy powyżej pierwszeństwo kobietom niemieckim dlatego, że zwrot od antyków do stylów nowszych i do wyzwolenia powstał przedewszystkiem na północy Europy. Sławny Winckelmann, pierwszy i największy reformator był Niemcem; zawiązawszy odpowiednie stosunki z Mengsem, stanął na czele zwolenników nowszych prądów. Winckelman badał ruch artystyczny w Europie; w Rzymie studyował sztukę klasyczną Grecyi i tam też zdobył sobie

rozgłośne imię, starając się rozszerzyć swe zasady jaknajdalej.

Jedną z pierwszych uczennic Winckelmana była Angelika Kaufman. Angelika, ur. w 1741 r. w Chur, najmłodsze lata spędziła w Como, gdzie młodzianka duszyczka dziecięcia najwięcej obcowiała z cudną przyrodą.

W dziewiątym roku życia maluje Angelika pastelowe obrazki; w dwa lata później wspaniały portret jakiejś wyższej osoby w Como i wówczas to uwydatnia się jej wielki, wrodzony talent z Bożej łaski. Świat artystyczny zwrócił uwagę na młodziankę adeptkę sztuki i zasypało ją wkrótce licznymi obstalunkami. Nie mogła im jednak wydolać, gdyż celem dalszych studyów, zaczęła uczęszczać do akademij włoskich. W Rzymie poznała Winckelmana a zachwycona jego wykładami, przyłgnęła do nich całą duszą. Losy zapędziły ją do Londynu, tu obok wielu doznanych hołdów, spotkało ją pierwsze nieszczęście. Nicpoń jakiś, wyzyskawszy dobroć jej serca, zniewolił do ślubu, z których to więzów z wielkim trudem się wyzwoliła. W 1780 r. wraca do Italii, gdzie w szczęściu i chwale żyła do 1807 roku; mnóstwo pozostałych po niej arcydzieł sztuki malarskiej, jakoto: „Chrystus i Samarytanki“ i inne zdobią dotąd niektóre muzea historyczne i pałace sztuki w Monachium i Wiedniu. Krytycy ówczesni przyznają Angelice wybitny talent; w rzeczywistości wszakże—mówią inni—była tylko zręczna i biegła w technice a jako kobieta, posiadała właściwą jej płci miękkość w upozowaniu. Nawet postacie męskie jej pędzla odznaczały się w pewnym stopniu zniewieściałemi liniami rysów.

Wyżej, na północy Europy, w Szwecyi, wślawiła się Ulyrka Fryderyka Pasch; w Danii—Małgorzata Berens, zaś w Niderlandach cieszyła się rozgłosem znakomita portre-

cistka Anna Marya Reysschoot, oraz współczesne z nią: Marya Verelzt i Henrietta Wolters. W artystycznym haftowaniu kwiatów i pejzaży celowały tamże: Krystyna Chalon, Karolina Szeffer, Georgina Hagenhuicen—córka, żona, matka artystów malarzy.

Przejdźmy do Anglii: rzeźbiarka mistress Damer a portrecistka Samon, obie wyniosły się ponad tłum na polu sztuk pięknych. Tu zaznaczyć należy następującą anegdotę o powołaniu mistress Damer: Raz, kiedy przechadzała się z wielkim filozofem Dawidem Hume—i zatrzymali się oboje przed jakimś wspaniałym wykonanym pomnikiem, Hume odezwał się, patrząc z ironią na malarzkę:

— „Paniby nie umiała ulać coś podobnego... pomiędzy pędzlem a dłutem istnieje taka różnica, jak pomiędzy szczotką do zmiatania a strojnemi piórami, zdobiącemi najpiękniejsze kapelusze!“ — rzekł i zaśmiał się sarkastycznie.

Słowa te ubodły do najwyższego stopnia czułą duszę artystki; wnet przerzuciła się na pole rzeźby, w kilka zaś dni potem zgłosiła się do filozofa i z tryumfem przedstawiła mu pierwszą swoją pracę rzeźbiarską. Od tego czasu posuwała się szybkim krokiem naprzód na nowo obranem polu artystycznym.

We Włoszech wstąpiły się: Rozalia Carrieri i Marya Maratti; pierwsza subtelna miniaturzystka. Nie długo wszakże trwała jej karyera, bo straciła wzrok i zmarła wkrótce. Maratti malowała w klasztorze religijne obrazki.

Idźmy jednak dalej: We Francyi spotykamy malarzkę Falconet, wiele pracowała przy wspaniałym pomniku Piotra Wielkiego. Portrecistka Julia Charpentier była twórczynią wszelkich robót rzeźbiarskich w kościele w Blois, w czem jej pomagała druga koleżanka, znakomi-

ta malarka Laville-Leroux. W Jardin des-Plantes figuruje znów Franciszka Basseporte; w Akademii sztuk pięknych spotykamy Karolinę Sattler jako profesorkę portretów-mi-niatur; obok niej profesorkę Fanny Vernet. Tych ostatnich wszelako przewyższyły talentem dwie inne artystki: Adelaj-da Vertus Labille i Elizabeta Luisa Vigée-Lebrun. Vertus Labille została d. 13 lutego 1781 r. członkiem Akademii paryzkiej; odznaczała się wysokim talentem i celowała jako portrecistka. Monsieur, brat królewski, pozwolił jej zrobić swój portret; kiedy zaś, w czasie rewolucyi, padł ofiarą rzezi, malarka rzadko kiedy już brała pendzel do ręki.

Aby zaś ocenić należycie wpływ wielkiej Lebrun na sztukę, trzeba się przyjrzeć bliżej ówczesnym stosunkom. Były to czasy najokrutniejszych oczekiwań przed rewolu-cyą, czasy przepychu i zbytku, które nie widziały przed sobą, nie słyszały jęków głodnych i nie chciały sty-kać się z nędzą. Czytywano wtedy z lubością Beaumar-chais'go, „Wieczory piątkowe“ pani Neeker; unoszono się nad tym lub owym romansem a tam, nazewnątrz groma-dziły się masy i zaciskały pięści. Ale były to również czasy, kiedy składano hołdy kobiecie; kiedy otaczano czią najwyższą marne złoto a kto chce się przekonać o blasku ówczesnym, niechaj się przyjrzy dziełom malarskim wiel-kiej Lebrun, np. portretom Maryi Antoniny i jej dzieci.

Lebrun wogóle wyniosła się na one czasy sławą nie-zwykłą. Ojciec jej był malarzem mniejszej wartości; umarł, gdy Luiza była jeszcze dzieckiem, ale wcześniej dojrzawszy, musiała utrzymywać matkę. Jej piękność, dowcip, zjednywały Luizie Lebrun przyjaciół a cały dwór malował się u niej. W owym to czasie stanął na jej dro-dze Babtist Lebrun, również artysta - malarz, utracysz,

hulaka, który wkrótce po ślubie zupełnie ją prawie zrujnował. Przeniosła się też na najwyższe piętra swego pałacu i tu wytworzyła sobie nowy świat: artyści, literaci, dziennikarze, uczeni, stanowili jej otoczenie. Tutaj zaczęto wypierać wiekowe style i tutaj wznoszono ołtarze świeżej reformie. Lebrun wprost czarowała wszystkich; Marya Antonina powołała ją na dwór, aby z nią śpiewała w duecie.

Zaszczyty i hołdy nie długo jednak trwały; zaczęto sobie pocichu szeptać różne ploteczki o przyjęciach na jej salonach, o małych awanturach, szczególnież wszakże nie podobał się stosunek Lebrun z ministrem Calonne, przez wszystkich znienawidzonym. Dlatego też opuściła wkrótce Paryż i pofrunęła do Włoch; w podróżach swych po Wiedniu, Berlinie, Petersburgu—wszędzie doznawała dobrego przyjęcia. Nareszcie wraca do Paryża, gdzie tymczasem Bourboni znowu objęli panowanie i gdzie świetniała jako artystka, oraz jako kobieta. Malarką była do późnej starości; w życiu swoim wykończyła: 662 portrety, 15 kompozycji, 200 pejzaży, oraz mnóstwo pomniejszych utworów. Umarła w 1842 r., mając 87 lat.

Lebrun była artystką całą duszą; kobieca jej subtelność, delikatność uczuć, oraz wspaniale zastosowane tematy, uczyniły ją niepospolitą. Wogóle, zostawiła po sobie pamięć niezagasałą a wszystkie jej utwory odznaczały się wszelkimi wymaganiami zaletami.

Rewolucya przeminęła i zarazem nastały dla Francyi szczęśliwsze czasy. Świat artystyczny więc również ożył; salony zaczęły się napełniać najprzedniejszymi pracami, wśród nich zaś widoczny był zwrot ku temu prądowi i prawie wszystkie przyswoiły sobie styl nowszy; obrazki, obrazy, portrety, rzeźby—wszystko obok wartosci artystycz-

nej, nosiło na sobie charakter zupełnie odmienny, niż dotychczas.

Wtedy to obudził się w kobiecie jednocześnie i duch buntu, po raz pierwszy może zaczęła pojmować swoją rolę poślednią, oraz jaką pozycję mogłaby zająć. Wyciągnęła więc rękę do świeżej jutrzeńki a utarowawszy zwołna drogę sobie i innym do nowego przeznaczenia, wytworzyła ewolucję emancypacji kobiet.

Tym sposobem zaroilo się w Paryżu od różnych pracowni artystycznych, w których królują kobiety coraz częściej.

---